

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 16 KWIETNIA 1927 ROKU

NR 16

TREŚĆ NUMERU: Odrodzenie sił — S. P. Bezdomność kobiet zarobkujących — M. H. Szpyrkówna. Wiersze: „Do Matki Boskiej” — Z Sarbiewskiego przełożył Julian Ejsmond, „Wielkanoc” — Zofja Miszewską. Romansowy muzykant — Paula Lamowa. Plantator z Malaty — J. Conrad, (c. d.) przekład autoryzowany Teresy Tatarkiewiczowej. Rok 2200 (c. d.) — Wanda Melcer-Rutkowska. Na drogach sztuki — I. j. U nas w Wilnie — Provinciale. Kobieta w świecie i w domu — H. S. Z teatrów — S. P. O. Zmartwychwstanie. Krynica — Wanda Dobrzańska. Wielkanoc — W. D. Święcone — Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Suknie wiosenne — Well. Kwiaty z włóczki. Zakieciki haftowane na siatkowym tiulu. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — Colette Yver, autoryzowany przekład S. Ł. Arkusz wzorów.

*W dniu Zmartwychwstania Pańskiego ślemy wszystkim naszym
czytelniczkom, współpracownikom i przyjaciołom naszego pisma
serdeczne życzenia: Wesołego Alleluja!*

ODRODZENIE SIŁ

Święta Zmartwychwstania i jednocześnie budzenie się natury ze snu zimowego nasuwają poważne refleksje w kierunku psychiki zarówno człowieka zbiorowego, jak i poszczególnej indywidualności. Każdy z nas nosi przecież w sercu jakiś grób, czy to nieziszczonych nadziei, czy to zawiedzionych uczuć osobistych, czy szerokich ambicji twórczych, które w zetknięciu z realnością skurczyły się i skarłały, czy złudzeń młodzińskich, które twarda dłoń życia zwarzyła w paku.

Podobnie dzieje się w duszy zbiorowej społeczeństwa. Od chwili wywalczenia niepodległości ileż haseł zbankrutowało, ileż idei uległo wypaczeniu, ileż dróg poszło na manowce! I nie możemy się temu dziwić, ani nad tem ubolewać. Umysł, patrzący na te objawy z pewnej wyżyny stanowiska biologicznego, widzi w nich jedynie żywą przemianę materji, żywszą, niż w czasach przedwojennych. Nieskrępowany niczem dopływ tlenu, ożywczego gazu wolności, spowodował szybsze spalanie się tkanek. Rzecz w tem, żeby zużyte wartości zastępować nowemi.

Nie każdy organizm równie łatwo przystosowuje się do nieznanych, choćby nawet najpomysłniejszych, warunków.

Wiemy, że człowieka, długo zamkniętego w dusznej celi więziennej, odurza i upaja czyste powietrze wolnej przestrzeni. Zanim się z niem oswoi, płuca jego pracują nadmiernie, walcząc z niespodzianem bogactwem, które narazie szkodliwsze jest dla nich od dawniejszego niedostatku.

Z wytężeniem ponad siły pracują płuca naszego społeczeństwa. Chłoną powietrze wolności tak chciwie, że system krwionośny, nienawykły do tak szybkiego krążenia, nie może za niemi nadążyć, że mięśnie, wciąż całego wieku przystosowane raczej do biernego oporu, niż do czynnego zdobywania — mdleją w ustawicznym napięciu.

Jesteśmy świadkami patologicznego faktu arytmji poszczególnych organów, faktu, który, jak każdą chorobę, należy przedewszystkiem zbadać, postawić jej djagnozę, ustalić system leczenia i ściśle go przeprowadzić. Samo stwierdzenie faktu, a tembardziej sen-

tymentalne nad nim popłakiwanie, nietylko nie prowadzi do celu, ale go od nas oddala.

— Ale — czuję już drgające nade mną zapytanie — cóż my na to możemy poradzić, my, szare pionki, którymi po szachownicy życia ciska nieubłagana ręka walki o byt, my — niedostrzegalne śrubki maszyny państwowej, zardzewiałe i pościerane w ustawicznej trosce o kęs chleba? możemy chyba tylko skrzypieć, kiedy nam oliwy poskapia.

Otóż to skrzypienie, to atretyczne trzeszczenie w kościach świadczy o zastarzałych, dziedzicznych skupiskach jakichś związków chemicznych, nieprzyswojonych przez jednostronnie odżywiany organizm. I tu właśnie tkwi oścień zła. Z niewyzyskanych sił tworzą się zawały i zatory, grożące wylewem, z nagromadzonych, a nie zużytych wporę zapasów — zgóry próchna, z nawpół przepalonych żużli — Himalaje niekonsekwencji. Kto temu winien? Nasza dziedziczna narodowa choroba: brak uzgodnienia poszczególnych funkcji organicznych. Płuca sobie, serce, jak kto chce, żołądek po swojemu, a — nerwy to już zupełnie samopas. I czyż można się dziwić, że tyle się u nas marnuje: czasu, pracy i ludzi?

Jesteśmy narodem bezinteresownych bohaterów, genialnych neurasteników, spalających się na popiół entuzjastów, bezpłodnych dialektyków, nieuleczalnych marzycieli, szukających świtu o zachodzie słońca, ale w wyjątkowych tylko chwilach zdobywamy się na poczucie rytmu i równowagi. I wtedy tworzymy cuda, aby nazajutrz zapaść w zwykły stan beztroskiej inercji i magazynować siły, pleśniejące po zakamarkach i rupieciarniach naszej inicjatywy twórczej, jak niedopieczony bochny chleba, którymi się można struć, albo zadławić, ale pożywić się nimi nie sposób.

Zakwasem tej ludzkiej szpiżarni, fermentem tej beczki niewyładowanych sił jest nasze wspólne szkod-

nictwo: brak równowagi. Na jednej szali rzesze robotników bez pracy i bezrobotnej inteligencji, wyrzuconej poza nawias życia arytmją ekonomiczną, na drugiej — kilkaset jednostek, uginających się pod brzemieniem pracy organizacyjnej i wołających rozpaczliwie:

— Ludzi! dajcie nam ludzi!

— Jakich ludzi? Przecież macie ich tyle, czekających na zajęcie i posadę?

— Ach, nie! Dajcie nam ludzi, umiających pracować, dajcie nam wykonawców umiających i sumiennych, nie o zapasy szpiżarniane nam chodzi, ale o żywego człowieka w czynie!

I tu się zaczyna wasza doniosła rola, szare pionki, ciskane ręką walki o byt po pstrej szachownicy świata, bezimienne śrubki, tak rzadko zraszane oliwą gratyfikacji i trzynastej pensji.

Bądźcie żywym człowiekiem w czynie! Otrząsnijcie ze siebie pleśń inercji, zetrzyjcie rdzę, narosłą przez długie lata bezsennej troski. Przyznaję, że w waszych warunkach jest to bohaterstwo, tem cenniejsze, że nie wolno mu być wysiłkiem jednodniowym. Ale jest ono najważniejszym, bodaj, krokiem na szlaku odrodzenia. Jest krokiem niezbędnym. Bez niego nie może być mowy o postępie i rozwoju zbiorowości. Bezduśność śrubek może zadecydować o niesprawności całej maszyny. Jedna niedokładność może spowodować katastrofę. Nie oglądajmy się wstecz. W dzień Zmartwychwstania przekreślimy rachunek zysków i strat. Otwórzmy nowe konto: wartości niewyzyskanych. Zstąpmy w głąb naszej duszy: ileż tam drzemie skarbów pod pleśnią, gruzem i popiołem! Zaiste! nie umarli, ale śpią.

Obudzić je może jeno potężny, rezurekcyjny dzwon sumienia. Więc kto weń mocen uderzyć, niech święci w dniu Zmartwychwstania wielkie misterjum sił o d r o d z o n y c h.

S. P.

M. H. SZPYRKÓWNA

BEZDOMNOŚĆ KOBIET ZAROBKUJĄCYCH



Jaki jest najdokuczliwszy szkopuł w zorganizowaniu możliwego życia zarobkującej kobiety u nas?

Niewątpliwie, brak w tym, lub innym rodzaju urządzonej wspólnoty mieszkaniowej, która zdjęłaby z bark zajętej przez cały dzień i zmęczonej, końską, nieraz orką kobiety, jeszcze bardziej męczące kłopoty o rzeczy codziennej potrzeby: o jedzenie, sprzątanie, cerowanie i t. d.

Oczywiście w tej chwili mam na myśli kobiety samotne, przeważnie młode dziewczęta, które przy-

jeżdżają z domów, z prowincji, do stolicy, lub większych miast, i gnieźdzą się w niemożliwych warunkach, zabijających nietylko wszelkie piękno codziennego życia, ale i zdrowie, i ochotę do pracy, i ochotę do życia wogóle. Te nasze pokoje przy rodzinie, o których już, o Boże! któż nie pisał, a które z każdym rokiem nabierają innych kolców wzamian tych, jakie im obcina prawo. Tysiącznych wdzięków, jakimi rozporządzają, trudnoby wyliczyć, ale każdy z nas, a zwłaszcza, zwłaszcza każda! — spotkaliśmy się z nimi w tej, czy innej formie. Zawsze jest w tem, albo jakieś „niekrępujące wejście przez sypialnię mojej córki“, albo

zakaz przyjmowania kogobądź, albo niemożność dostania szklanki herbaty w godzinie nieprzepisowej, albo pluskwy, albo gramofon, albo ordynarna służąca, a najczęściej kilka z tych rozkoszy naraz, plus bardzo wysoka cena — i bardzo podłe traktowanie lokatorki. Czy ktokolwiek, odnajmujący pokoje w Polsce, nie traktuje mniej, lub więcej widocznie lokatorów, jako niepożądanych intruzów, których jednak trzeba tolerować? Coś, jak wojsko nieprzyjacielskie, z tych, czy innych względów nie do usunięcia, ale któremu za to aż nadto daje się odczuć jego przymusowe stanowisko. Mało kto się zastanawia, że jest to zwykłe obliczenie. Tyle, a tyle od lokatora otrzymywanych pieniędzy wypełnia lukę, inaczej nie do załatwienia, w skąpym budżecie domowym. Ludzie zasobni starają się pokoiów nie oddawać. Ale zdarzyło mi się tylko raz spotkać kobietę, prowadzącą pensjonat — zawsze istotnie pełny — która mówiła:

— Matka moja miała taki „boarding-house“ we Włoszech. Była Dunką. Zawsze mnie uczyła, że nie goście są dla nas, tylko my dla gości: a zato dla nas są — ich pieniądze! Już nie pamiętam, jakimi słowami, ale zdołała we mnie wpoić przeświadczenie rozumowe, że o tyle będzie mi dobrze, naprawdę dobrze i materialnie i moralnie — o ile moi lokatorzy będą u mnie czuli się istotnie w domu. I tak — pomiędzy własnym domem, a najlepszym cudzym, istnieje wielka różnica: pocóż ją jeszcze zapełniać ostrem szkłem? My zagranicą jesteśmy nawet może bardziej chciwi na pieniądze, niż Słowianie! Ale popierwsze — damy gościom jaki-taki komfort, a po drugie, — jesteśmy dla nich uprzejmi! Najwięcej mnie uderzyły w podróży na wschód dwie cechy: że za drogie pieniądze mieszkało się niechlujnie i nadzwyczaj niewygodnie — z hałasem, kuchennymi zapachami, brudną i zupełnie niewycwiczoną służbą i że było się traktowanym protekcyjnie. Każda z tych pań zachowywała się, jak sceniczna hrabina, która wprawdzie prowadzi pensjonat, ale traktuje go, jako wyraźną łaskę dla gości, i każdym krokiem to usilnie zaznacza. Nie wiem...

W naszym hoteliku matka prowadziła stale kurs masażu dla klientek, a ja miałam pracownię krawiecką, bo przyjezdne panie bardzo chętnie z tego korzystały, nie znając miasta, dla podręcznych przeróbek, czy poprawek. I nigdy nam na myśl nie przyszło zaznaczyć klientce, że robimy to niechętnie i z grymasami. Jak kto, ale ja przy takim traktowaniu, mimo, że nie mam specjalnych tytułów do godności, wyprowadziłabym się natychmiast do innego pensjonatu.

Bagatela! Była... Dunką. My, niestety, nie mamy tak bardzo dokąd się „wyprowadzać“, nawet, jeśli jest nam źle, bo — tych lepszych nie mamy. A przypadkowe wyjątki są tak zapełnione, że trzeba czekać, jak to mówią, na czyjąś śmierć, albo na zamążpójście.

A jednak!..

Czy można pracować wydajnie i rozwijać się normalnie w ciągłym potykaniu się o kłopoty, w stałych przykrościach, płynących z niemiłych starć? A w każdym razie, czy nie szkoda na takie rzeczy — błahe, lecz dokuczliwe, jak osy — życia, energii, nerwów, siły?..

Każda z nas rozumie i odczuwa, że — tak, szkoda! Ale żadna nie może na to poradzić, i słusznie! Bo dla usunięcia tego zbiorowego zła bezdomności zarobkującej kobiety, potrzeba zbiorowego wysiłku i inicjatywy kobiet, które zarobkują.

Nikt za nas tego nie robi, kochane współtowarzyszki niedoli! Tylko my — my same! Mężczyzna żyje inaczej — i, zwłaszcza, czuje inaczej. Centrum jego zainteresowań przenosi się niemal zawsze poza cztery ściany, służące mu za doraźne schronisko. My — nie. Może słusznie, może niesłusznie? Ale faktem jest, że jakkolwiekby pobieżny i krótki miał być nasz pobyt w danym otoczeniu, boli nas jego brzydota, niechlujstwo, czy smutek. Domu! Radosnego, wygodnego, istotnie niekrępującego domu dla zarobkującej urzędniczki, nauczycielki, malarki, pianistki. Domu, któryby ją, zmęczoną i wyżytą z sił po całodzienną pracę, przyjął spokojem, światłem, wygodą i estetyką! Domu, który byłby dla niej, nie ona dla niego! A, żeby już powiedzieć najkrócej, poprostu jednego z niedosiężonych, nieomal, jako ideał mieszkaniowy, klubów amerykańskich dla kobiet pracujących zarobkowo.

Jeżeli mówię o nich właśnie z takim entuzjazmem i tęsknotą: to potrosze dlatego, że wiele i różnie podróżując, widziałam wiele i różnych pensjonatów, hoteli i wszelkiego typu „homów“ — i że najdoskonalszy z nich, mojem zdaniem, amerykański typ jest u nas raczej — nie do osiągnięcia.

Śmieszne powiedzieć, dlaczego! Nie z braku pieniędzy — bo jakkolwiek jest to ważny szkopuł, ale możliwy do usunięcia przy pewnych szczęśliwych posunięciach finansowych. Natomiast z odrębności psychiki, niejako z braku pewnego wychowania zbiorowego, którego załączek jest w całym narodzie jednakowy, i przy kierownictwie zgóry da się łatwo do pożądanego poziomu podciągnąć: jest to już tylko kwestja wyrównania, nie przerobienia od gruntu.

U nas — trzebaby bodaj z gruntu zmieniać pewne nastawienie wychowawcze szerokich mas kobiecych. Bo i jakież, mojem zdaniem, byłby najszkodliwszy czynnik w przeprowadzeniu idei takiego klubu w Polsce, jaką jest dziś?

Jeszcze raz powtórzę: śmiesznie powiedzieć! Byłby to wzgląd, że praw i swobód, przysługujących amerykance w takim klubie — niezmiernie szerokich i właśnie dlatego czyniących wspólnotę mieszkaniową miłą i domową, że tych praw i swobód u nas by nadużyto, zniekształcając odrazu i do głębi całe założenie idei.

W klubie Y. W. C. A. w Ameryce mieszka kilkaset dziewcząt absolutnie różnego poziomu wychowania. Ale jest to możliwe, bo kultura zewnętrzna przeciętnej amerykanki jest na tym poziomie wogóle, że nie będzie raziła jedzeniem, chodzeniem, zachowaniem się innej, o wiele wyżej wewnętrznie stojącej, towarzyski. Tymczasem u nas samo ułożenie już niezmiernie wyodrębnia od siebie sfery i uniemożliwi, lub utrudni współzycie.

W klubie Y. W. C. A. każda z panienek może przyjmować każdego ze swych znajomych, i absolutnie nikt nie ma jej za złe, że przyjmuje chłopców i chodzi z nimi na dancingi, do kina, lub wogóle „nazewnątrz“.

W klubie Y. W. C. A. żadna z panienek nie może przyjmować nikogo w swoim pokoju, tyl-

ko w salonach i salonikach, na to przeznaczonych. Takie jest prawo. Ale kontrola każdorazowa, jako taka, nie istnieje i jest niemożliwa, poniekąd, technicznie. U nas: budziłaby stałą dezaprobatę ludzi „poważnie myślących“ swoboda wychodzenia i przyjmowania przez dziewczęta chłopców bez oka kontrolującego: to ze strony starszych. I u nasby same dziewczęta nie umiały uszanować praw, jako takich, usiłując przekroczyć je, o ile doraźna możliwość się przedstawi. Nie mamy jeszcze wyrobienia społecznego, które wprowadza karność, jako czynnik wychowawczy, nie pod kątem przymusu, tylko wykonania podjętych zobowiązań. Członkinie klubu zobowiązują się, wstępując, do „szanowania konstytucji“. Zobaczmyż, jaką też jest konstytucja takiego klubu, który obyż!.. może powstanie kiedyś i u nas?...

Z. SARBIEWSKIEGO

PRZEŁOŻYŁ JULJAN EJSMOND

DO MATKI BOSKIEY

(Ks. IV Oda 20.)

*Matko Boża, Królowo świata, której włosy
wieńczą gwiazdy... Wysłuchaj pieśni, co w niebiosy
płynie przed thron twój święty...*

*Łódź moją na skały
pędzą spienione fale y wiatr rozszalały.
Zginę bez Twego wsparcia. Miej litość, O Pani!
Tyś dla rozbitków brzegiem radosney przystani.
Tyś iest gwiazdą żeglarzy...*

*Od żarkich płomieni
kanikuły upalney — Ty nas dziś ocieni,
iako cedrus arabski, iak cyprys libański,
iako topola, co kray ocienia kadański...*

*Wieżo z kości słoniowej, której nie pokona
ni deszcz miedziany, ni moc płomieni szalona,
ani ołów...*

*Pozwól nam niechay Cię wielbimy,
iako iutrzenkę wielbi lud wdzięcznymi rymy...*

*Bądź mi Matką Łaskawą, a ia Tobie Pani
u stóp naświętszych złożę w unížoney dani
lutnię moją ozdobną w papieskie wawrzyny
którą sławiłem syny sarmackiey krainy...*



Z O F J A M I S Z E W S K A

WIELKANOC

*Dziś przyszła do mnie wiosna, w święto Wielkanocy,
Bo, na zimową wzgardę podeptanym skwerze
Wycalowanych pączków wionęły pacierze,
Wymarzone pocichu wciągu jednej nocy
I teraz pachną drżące pośród szarych murów
Niepisane modlitwy kościołom do wtóru.*

*I oto zrozumiałam, że dzień przyszedł święty,
Bo pod ustami wiosny krzaki się zielenią,
Choć małe, ciche szczęście jeszcze w śniegu drzemie,
Lecz na święconym stole zakwitły hjacenty.*

*Zrozumiałam, że chociaż rzecz to niesłychana
Blade pączki wymodlą zmartwychwstanie Pana.*

PAULA LAMOWA

ROMANSOWY MUZYKANT



Przy ogniu kominka — w migotliwym blasku świec rozprawiano o wielkich zdarzeniach, które z szybkością kalejdoskopu uwieczniały imię jednego człowieka w historii. Ktoś grał na fortepianie — ktoś śpiewał czasem pieśń o bohaterze, który zginął za ojczyznę, o grenadjerze, który tęsknił za swoim cesarzem, o wędrowcu, który szukał szczęścia — czasem pieśń była bajką o uśpionej królewnie—balladą o starym królu, młodej królowej i złotowłosym paziu — o skarbach zaczarowanych i zatopionym dzwonie. Z okien domów wiedeńskiego śródmieścia dochodziły na uśpione wieczorem ulice tony smyczkowego kwartetu, tak rytmiczne i spokojne, jak puls miasta, które wśród zawieruchy wojennej zachowało tempo codziennego życia—czasem wesoła muzyka taneczna i rozbawiony śmiech wśród zamieci śnieżnej rozpraszał wszelką troskę o niepewne jutro.

Z gawędy wieczornej, w którą każdy posłyszana nowinę dorzucał, z pieśni wojennych, śpiewanych w zaciszu domowym z tęsknotą do lepszej przyszłości, z kwietyzmu i wyczekiwania lepszego jutra, wreszcie z kraju baśni, do której cofnęła się poezja przed zawrotnymi zdarzeniami historii—zrodził się w muzyce romantyzm. Literatura porzuciła koturny klasycznego dramatu dla pieśni, a umysły ludzi, zmęczonych wypadkami wojny, szukały ukojenia w muzyce, tak cichej i spokojnej, jak owe tajemnicze gawędy przy kominku.

Gdy w Niemczech głoszone hasła idei wolnościowej — w pieśni ludowej wskazywano przeszłość, pełną chwały i potęgę woli ludu — Wiedeń odpowiadał ludową, ucieszną krotoczwilą Raimunda. Odbźwiękiem niemieckiej pieśni wojennej—była w Wiedniu romantyczna pieśń przy fortepianie. Powoła ją do życia człowiek niepozorny i nieśmiały, o twarzy pogodnej, uśmiechniętej, nie zdradzającej głębokiego cierpienia, które nurtowało młody żywot, wniesie nową atmosferę do skromnych bawialni mieszczańskich, których „Schubertiady“ przejdą do historii i nadadzą twórczości autora Niedokończonych symfonii to znaczenie, które dla rozwoju beethovenowskich utworów miały salony Lichnovskich, Waldsteinów, Brunsvicków i Rasumofskich.

Romantyzm stroni od wielkopańskich gestów, które okruciami wspierały twórczość klasyczną. Poeci i plastycy Wiednia żyć odtąd będą w jedności—tworzyć zebrania towarzyskie, czytywać gromadnie dramaty Goethego i Schillera, poezje Novalisa i Eichendorffa — witać entuzjastycznie każdy powiew nowej twórczości niemieckiej, będą pisywali do siebie listy o wymiennych sądach i pamiątki, które zostaną dla potomności żywym świadectwem szczęśliwych dni. Wszystko, co jest warunkiem romantycznej epoki — odbiciem jej istnienia, znajdzie wyraz w pieśni Schuberta. Obudzi ona rychło marzenie nieziszczalnych pragnień, wzmocni tęsknotę za niedoścignionym szczęściem — odwróci uczucia kochających serc od brutalnego realizmu życia — stworzy promienną atmosferę



Fr. Schubert

dla zakochanych, którym pozostaną obce niskie instynkty i mielizna życia. W salonie literackim Karoliny Pichler, albo na zebraniach w domu Fröhlichów — wśród niezmaconej ciszy uniesie z sobą pieśń Schuberta myśli i uczucia zebranych w fantastyczny kraj bajki, skaże je na długą wędrówkę przez szumiące lasy, skaliste góry i szemrzące rzeki w obce, nieznane kraje — da im kij tułaczy do ręki i wśród nocy do bram nigdy niewidzianych domów kołatać zmusi, w poszukiwaniu dobrego serca i schronienia wśród burzy, a gdy po daremnych trudach szron poranka pokryje głowę wędrowca, pieśń domagać się będzie, aby szron rychło siwizną włosy przyprószył i dni żmudnej życiowej tułaczki ukrócił.

„Król Olch“ stał się pierwszym triumfem Schubertiady: jak z rogu obfitości, sypały się wciąż nowe pieśni do liryki Goethego, Schillera i Klopstocka — oprawę muzyczną otrzymali modni romantycy: Uhland, Claudius i de la Motte-Fouqué; czasem wiersze nieznanymi, domorosłymi poetów w pieśni pierwszego romantyka do nieśmiertelności przeszły.

Wśród dźwięków schubertowskiej lutni Grillparzer nową tragedję ułoży, albo — wpatrzony w ukochane oblicze Katarzyny Fröhlich — napisze do niej wiersze,

które wyśpiewa potem romansowy muzykant Lenau. u boku uroczej Zofji Kleyle obmyśli szereg epizodów dla Fausta, a Maurycy Schwind — zamarłych w zachwycie słuchaczy, jako tło do sławnego obrazu „Schubertiada“ obierze. I na obrazie tym utrwali nietylko świat romantycznej muzyki, plastyki i literatury, lecz także piękne, zaletami serca i umysłu słynące, młode niewiasty. Przewodzi im Zofja Müller o płomienistych oczach, tragiczka nadwornego teatru — jasnowłosa cudna tancerka Fanny Elsler, pierwsza mistrzyni walca, świetna sopranistka Hanusia Fröhlichówna, która słynęła jako pieśniarka Schuberta — Antonia Adamberger, artystka dramatyczna, o rysach, jak z marmuru wykutych, i brwiach sobolowych, narzeczona niegdyś Teodora Körnera, czarnooka p. de Chezy, która napisała libretto do opery Schuberta „Alphonso i Estrella“, i Teresa Krones, ulubiona wodewilistka Wiednia.

Kobiety te promieniowały na twórczość romantyczną i ożywczem tchnieniem wyhodowały największe dzieła wiedeńskiej epoki. Brały też żywy udział w młodzieńczych wybrykach Schubertiady, pieśń, bowiem, nie zawsze unosiła w błękitny przyjaciół Schuberta.

Młode, junackie natury wiedeńskich romantyków chwile nastroju i skupienia zamieniały często na rozigraną zabawę karnawałową, której do tańca przygrywał swoje walce i ländlerzy rozbawiony pieśniarz, gdy latem Schubertiada na drabiniastych wozach wybierała się w okolice Wienerwaldu i tam, na łonie natury, wśród roześmianych zabaw młodzieńczych powstały wesołe utwory taneczne — jedyna pamiątka niewielu jasnych dni w życiu Schuberta. Czujna policja metternichowska patrzyła z początku podejrzliwym okiem na zebrania romantyków, ale potem wzruszała ramionami na widok tej „zgrai nieszkodliwych matolek“, którzy schodzili się dla wymiany myśli w gospodzie „Pod węgierską koroną“, albo w kawiarni Bognera. Epoka ich nie trwała długo; zebrania Schubertiady wydały najpiękniejsze owoce twórczości Biedermayera, zostały świadectwem krótkotrwałej świetności wiedeńskiego romantyzmu, który, jak meteor zabłysnął nad cesarską stolicą i przeminął z szybkością znikomych ogni sztucznych.

Młodość, bowiem, która była surowym warunkiem romantyzmu, ustąpiła miejsca stateczności i rozwadze życiowej; przyjaciele Schuberta rozchodzili się zwolna, zabiegali o urzędy, które miały im być zapewnić i zakładali własne ogniska domowe. Pustoszały powoli zebrania Schubertiady — coraz mniejsze grono bywało w gospodzie „Pod węgierską koroną“ — coraz rzadziej odwiedzano ubogą izdebkę wiedeńskiego pieśniarza — wiecznie romansowy muzykant pozostał samotny.

(d. n.)



J. CONRAD

3

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

— Nedorzeczne wymagani! Widocznie chciała, bym jej opowiadał o życiu tych ludzi. Tłumaczyłem jej, że o większości wypadków nie warto nawet mówić.

Znakomity dziennikarz oparł się na łokciu i, podtrzymując głowę lewą ręką, przysłuchiwał się z wielką uwagą, lecz bez zdziwienia, jakiego spodziewał się Renouard, gdy przerwał na chwilę tok swego opowiadania.

— Ty coś wiesz — zapytał nagle.

Wszystkowiedzący dziennikarz poruszył z wolna głową i odparł:

— Wiem. Lecz mów dalej.

— To już wszystko; nie mam już nic więcej do powiedzenia. Skończyło się, wreszcie, na tem, że opowiedziałem jej pierwsze moje przygody, nie mogły przecież jej zainteresować. To jednak jest niezwykła historia: mają oni wszyscy czemś głowy zaprzątnięte. Siedzieliśmy w świetle, padającym od okna, podczas, gdy jej ojciec krążył po tarasie z założonemi wtył rękami i opuszczoną głową. Siwa dama dwa razy zbliżała się do okna od stołowego pokoju, zapewne, aby spojrzeć na nas. Reszta gości rozeszła się już, gdy siedzieliśmy jeszcze na tem samym miejscu. Widocznie mieszkają oni u Dunster'ów. Położyła temu koniec stara panna Dunster. Ojciec i ciotka krążyli dookoła, jakby się bali przeszkadzać pannie, ale ona wstała sama i, podawszy mi rękę na pożegnanie, wyraziła nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Mówiąc to, Renouard widział ją poruszającą się z wdziękiem i siłą, odczuwał uścisk jej dłoni, słyszał ostatnie, ciche dźwięki jej głębokiego głosu, oglądał jej szyję, tak bardzo białą w świetle, padającym od okna, zapamiętał ciemne spojrzenie jej niezłomnych oczu, które prześliznęło się po jego twarzy, gdy odwracała się, aby odejść. Były to wspomnienia czystowzrokowe, lecz nie sprawiało mu to przyjemności, raczej dziwiło go, jakby odkrycie w sobie nowych zdolności. Są zdolności, bez których można się obejść, jak na przykład, możność widzenia poprzez mur, lub zachowanie w pamięci z nadnaturalną wprost dokładnością czyjś żywego obrazu. Dziwna była ta jej rodzina ze swą niespokojną troskliwością. Nie mógł o nich zapomnieć; i, gdy tak wciąż stawali między nim, a konkretnemi zjawiskami codziennego życia, zdecydował się wreszcie odwiedzić przyjaciela w jego biurze. Spodziewał się, że informacje, lub pospolite ploteczki rozproszą widma tych niezwykłych współbiedniaków. Naturalnie, powinien był się z tem zwrócić do młodego Dunster'a, ale poprostu nie mógł go znieść.

Tymczasem redaktor zmienił pozę za biurkiem, uśmiechnął się zlekka, dając tem do zrozumienia, że wie dużo, i rzekł:

— Uderzającej urody dziewczyna, nieprawda?

Niewłaściwość tego odezwania się wytrąciłaby każdego z równowagi. Uderzającą ta dziewczyna była uderzającą! Uderza... Renouard po chwili opanował się. Przyjaciela jego nie był człowiekiem, któremu by się można było zwierzać. Zresztą, przecie przyszedł tu poto, aby wysłuchać rozmowy tego rodzaju; a ponieważ się już poruszył, zasiadł wygodniej i przyznał z doskonale udaną obojętnością, że była rzeczywiście uderzającą. Szczególniej wpośród tego stada wystrojonych bab; nie było wśród nich ani jednej kobiety poniżej lat czterdziestu.

— Ładnie się wyrażasz o śmietance naszego towarzystwa, le dessus du panier, jak mówią Francuzi — wymawiał mu redaktor z żartobliwym oburzeniem. — Nie krępujesz się w wyrażeniach.

— Tak rzadko wypowiadam moje myśli — odparł mu na to Renouard poważnie.

— Powiem ci, co o tobie myślę: za mało liczysz się ze słowami. Gdy rozmawiasz ze mną, niczem ci to nie grozi, ale nie wiesz nawet...

— Dziwne to bardzo — przerwał mu Renouard — że to mnie właśnie wyciągnęła na taką długą rozmowę.

— Może dlatego, że byłeś najwybitniejszym człowiekiem z całego towarzystwa.

Renouard potrząsnął głową.

— Nie trafiłeś — odparł spokojnie — szukaj czegoś innego.

— Nie wierzysz mi? O skromna istoto! Zapewniam cię, że w zwykłych okolicznościach przypuszczenie to byłoby słuszne, gdyż bez wątpienia można cię zaliczyć do ludzi wybitnych. W tym wypadku, ponadto dałeś dowód, że jesteś niesłychanie przenikliwy, gdyż, na Boga, okoliczności są niezwykle.

Zadumał się. Plantator po chwili rzucił odniechcenia.

— A czy wiesz, jakie są te okoliczności?

— Wiem — odpowiedział krótko wszystkowiedzący redaktor, jak gdyby sytuacja była zbyt poważna, aby popisywać się tem, co stanowiło dumę jego zawodu, tak znaną Renouard'owi, że brak jej zdziwił go, a nawet zaniepokoił, jako oznaka złych nowin:

— Czy znasz tę rodzinę? — zapytał,

— Nie. Miałem ich właśnie poznać na wczorajszym obiedzie, ale musiałem się wymówić, i wtedy Willie wpadł na genialny pomysł, aby zaprosić ciebie na moje miejsce, miał przytem jakieś mgliste

przecucie, że może przydasz się na co. Willie miewa czasem takie głupie pomysły; jesteś przecież ostatnim z ludzi, któryby mógł w tem dopomóc.

— Jakim sposobem mógłbym być zamieszany w tę sprawę? — Głos Renouarda zadrżał zlekka nerwową irytacją. — Przecież ja dopiero wczoraj przyjechałem.

II.

Redaktor zwrócił się do niego otwarcie:

— Willie radził się mnie, i, z chwilą, kiedy, zdaje się, chce cię dopuścić do sekretu, najlepiej będzie, gdy ci wszystko opowiem. Postaram się być zwięzłym. Ale pamiętaj, że powierzam ci to wszystko w zaufaniu.

Zatrzymał się na chwilę; niepokój Renouard'a wzrastał niepomierne, kiwnął więc tylko głową, a redaktor, nie tracąc czasu, rozpoczął swoją opowieść.

— Profesor Moorsom... sławny fizyk i filozof... obdarzony (sądząc z fotografii)—piękną głową o siwych włosach,... nietylko piękną, ale i mądrą—napisał kilka znakomitych dzieł... pewnie nawet i ty słyszałeś o nich...

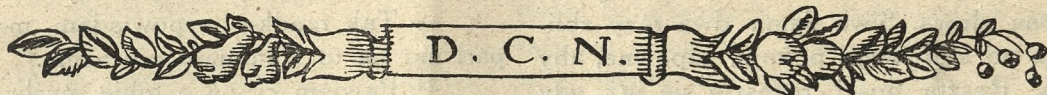
Renouard odburknął, że nie bawi się w czytanie takich książek; przyjaciel pośpieszył go zapewnić z powagą, że i on nie zwykł ich czytywać, lecz musi robić pewne wyjątki z interesu i obowiązku, gdyż jest kierownikiem działu literackiego w dzienniku, będą-

cym jego własnością (i dumą jego życia). Jedyne literackie pismo w tej części świata nie mogło ignorować modnego filozofa. Nikt go tu nie czytał, lecz każdy o nim słyszał, nie wyłączając kobiet, dzieci, robotników portowych i dorożkarzy. Jedyne, prócz niego, który tu czytał Moorsom'a, to stary Dunster, zwał siebie nawet Moorsomistą (a może należy mówić—Moorsominem) już od lat, gdy Moorsom nie był jeszcze taką wielkością, jaką jest teraz pod każdym względem, nawet towarzyskim: jest modnym przecież w najwyższych sferach.

Renouard słuchał tego ze skupioną uwagą, wreszcie mruknął odniechcenia: — Szarlatan.

— Nie, tak nie jest. Nie dziwiłoby mnie to wcale, gdyby większość jego dzieł była nabieraniem publiczności, tego można się spodziewać, gdyż uczciwie piszą jedynie w gazetach, nigdzie więcej—zapamiętaj to sobie.

Redaktor zamilkł i wpatrywał się wzrokiem bazyliuszka w Renouard'a, dopóki ten nie rzucił mu niedbale: — Zapewne! — dopiero wówczas rozpoczął na nowo opowiadanie o tem, jak stary Dunster, podczas swej podróży po Europie, będąc w Londynie, stał się atrakcją sezonu. Mieszkał wówczas u Moorsom'a i jego córki, profesor, bowiem, jest oddawna wdowcem.



WANDA MELCER-RUTKOWSKA

2

ROK 2200

Szymon spojrział na zegarek. Nie było jeszcze bardzo późno. Wszelkie obawy i wahania odpadły z niego nieodwołalnie. Nic go już teraz nie kosztowało panować i rządzić. Spokojnie, swoim równym, mocnym krokiem, nieodwołalnym, jak siła natury, doszedł do prezydjalnego stołu, na którym wsparł się, i tak mówić począł:

— Panowie, zebraliśmy się tutaj, żeby podpisać umowę, dawno już między nami zawartą. Wszyscy wiecie, jaki jest istotny cel naszego związku i wyrazem swoich twarzy potwierdzacie swoje przyrzeczenie. Pozwólcie mi więc usunąć ostatecznie wszelkie wątpliwości, o ile jeszcze jakieś mogą powstać.

Panowie! Poraz setny zapewne w mojem życiu siedziałem na tarasie w fotelu i spoglądałem z odrazą na pejzaż, który i wam jest dobrze znajomy. I coż widziałem? Góry, doliny, znowu góry. Za sobą miałem ścianę skał, wysokie progi Mont Salève, widoczne

wyraźnie przez drzewa ogrodu. Przed sobą, w dole, pewną ilość wody, ujętą w to, co dotąd nazywają jeziorem, Genewskiem Jeziolem, proszę panów. Jest to, jak wiadomo, duża ilość wody, bez formy i bez pożytku o postrzępionych i bezładnie stłoczonych nad wodą brzegach. Wokoło skały, które właściwie nic nie mają na swoje usprawiedliwienie, nie tłumacząc potrzeby swego istnienia żadną potrzebą ludzkiego serca. Te skały, to poprostu znowu duża ilość kamieni rozmaitej geologicznej formacji, zasłaniające widok i nie pozwalające wzrokowi sięgać do granic horyzontu. Nie mogą się nawet pochwalić tem, z czego dumne są wybrzeża morskie Peru, i żadne ptaki nie składają na nich guana. Wśród drzew, tam rosnących, nie widzimy ani drzewa kauczukowego, które przydatne jest na opony i dętki, ani drzewa sagowego, które daje pożywną kaszę, ani arici, która daje roślinną kość słoniową, przydatną do wyrobu guzików. Są

dzę, że trafię w myśl panów, jeżeli powiem, że nigdzie tak, jak w Szwajcarii, człowiek nie może sobie uprzytomnić całkowitej bezwartości pejzażu.

Jestem absolutnie przekonany, i gotówem dać głowę za tę moją wiarę, że porządek jest podstawową kategorią, jaką człowiek ujmuje sobie świat. Porządek jest tem właśnie, co jest piękne w pięknie, co jest czarujące we wszelkim uroku. Porządek jest najwyższym dążeniem człowieka do absolutu. I cóż to jest, właściwie, nauka? Nauka jest to uporządkowanie sobie zjawisk przyrody na swój użytek. I cóż jest sztuka? I sztuka porządkuje naturę, kształtując ją w dzieło natchnienia i pod jego dyktando. Natura jest więc tem wszystkim, co musimy opanować, tem wszystkim, co jest z zasady samej nieporządne.

Oto jest teoria, jaką możemy odsłonić wszystkim. Ale między nami, panowie: Między nami możemy sobie wyjaśnić i inne przyczyny naszego przedsięwzięcia. Na ziemi robi się ciasno. My ziemianie, my rolnicy, nie mamy dość miejsca dla rozszerzenia produkcji, przyjdzie może chwila, w której zapanuje nad nami wielki przemysł, pozwalamy rządzić i przewodzić nad sobą fabrykantom, nawet artystom, nawet motłochowi. Dość tego, ten stan rzeczy jest nie do wytrzymania. Musimy znaleźć wyjście! Zniwelujemy ziemię.

Góry, doliny, pagórki... I na cóż nam to wszystko, pytam? Teraz od bieguna do bieguna rozpostrze się jedna wielka płaszczyzna ornej ziemi. Będziemy w nią wsiewać żyto i pszenicę, owies i jęczmień i mnóstwo innych, służących nam, roślin. Zaprowadzimy regularny płodozmian całej kuli ziemskiej, zależnie od zmian klimatycznych, ilości opadów i ciepłego działania Golf-Streamu. Szczupłe anteny, rozstawione na naszych polach, łapać będą skomplikowane rozkazy centralnej Władzy Siewu, która będzie w możliwie naj-mądrzejszy sposób regulować wzrost trawy na całej naszej planecie. Do jak wspaniałych dojdziemy rezultatów. Jestem pewien, że nie tylko podniesiemy produkcję do rozmiarów zgoła nieprawdopodobnych, ale wytworzymy nowe odmiany drzew i roślin, które nasz plon ustokrotnie. Wtedy to nieśmiałe próby rozszerzenia naszych rynków zbytu na Marsa i najbliższe położone planety znajdą właściwą podstawę. Wtedy będziemy się mogli nazwać panami wszechświata, a nasza ambicja znajdzie właściwy dla siebie grunt.

Przedsięwzięcie, aczkolwiek trudne, nie jest do wykonania niemożliwe. Ot, weźmy Salève. Nasi robotnicy zapomocą najnowszych środków wybuchowych wprzeciągu tygodnia rozerwą te skały, rozwiozą je potem po świecie, zasypią niepotrzebne wody i jeziora, rozprowadzając je tylko po polach zapomocą prawidłowych drenów. Zniesiemy Alpy i Karpaty, Pireneje i Apeniny. Ural nie będzie się nam długo opie-

rał. Kordyljery i Andy też doczekają się swojej kolei. Święty Fudzi-Jama, tajemniczy Mount Everest, Mont Blanc i Kilimandżaro, te dumne szczyty zasypią bezdnie oceanowe. Podniesiemy morza, zasypimy doliny.

Och, panowie. Już widzę ten przyszły świat, piękny, wielki, przestronny, wiecznie złoty od zboża, żyzny i hojny dla ludzi. Radość przepelnia mnie i dumę, kiedy myślę, że naszych to rąk będzie dzieło. Bowiem, zgodnym wysiłkiem zdołamy je urzeczywistnić. Potrzeba nam tylko kapitału, ale wasz udział zapewnia nam tę niezbędną krew w arterjach. Panowie—akt jest przygotowany i oczekuje waszych podpisów.

Kiedy Szymon skończył, obecni tak dalece poddali się wrażeniu jego słów, które trafiały w ich najistotniejsze zamysły, że przez chwilę cisza była jedyną jego nagrodą. Odczuł ją jednak znowu, jak przynależny hołd, i poczucie zwycięstwa spadło na niego z taką siłą, że oczy przymknął i stał przez chwilę nieruchomo. Kiedy się ocknął, oni jeszcze nie ośmielili się rozmawiać, tak bowiem przywykli do jego władczygo słowa i gestu, że nie chcieli przerywać ciszy, obawiając się, że może zechce jeszcze coś dodać.

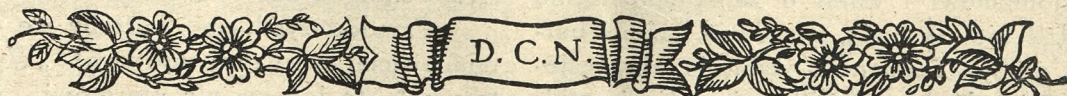
Wielki papier, mocą którego konsolidowało się Stowarzyszenie Ziemian w celu eksploatacji gór i mórz, leżał przed Szymonem na stole. Jakże znał zwężę, jasne słowa tego aktu! Teraz, nie patrząc na nie, pierwszy położył swój podpis, kiedy zebrani wybuchnęli istnym rykiem entuzjazmu. Nie czekał już, jednak, na hałaśliwe objawy ich zachwytu, tylko, podczas kiedy tłoczyli się koło stolika, odwrócił się pośpiesznie i wyszedł na powietrze wieczoru.

Szymon siedł przed siebie równym, rażnym krokiem, jak chadza zwykle ktoś, co dokonał zamierzonego i zdawna uplanowanego dzieła i teraz wcale już o niem nie myśli. Płuca jego, sprawnie działając, wdychały wielką ilość pięknego powietrza. Jego stopy wpierały się mocno w grunt ścieżki, miażdżąc go palcami i silnie się odpychając piętą. Jego wielkie, świetnie wygimnastykowane ciało szło naprzód, jak maszyna.

Ścieżka obrysowywała łagodnie profil góry. Dawno już pozostał za wędrowcem hotelowy park, pełen najrzadszych kwiatów i drzew, cudem wydobytych z kamienistego szwajcarskiego gruntu.

— Za chwilę ją zobaczę — powtarzał sobie radośnie Szymon, uniesiony miłością dla pięknej kobiety, która go w umówionem miejscu oczekiwała. Jakże ją kochał...

Drożyna trudna była do przebycia, śliska od zasłaniających ją jesiennych liści. Ażeby przejść, trzeba się było ciasno przytulić do skały, chwytając ramionami za blisko rosnące drzewa.



NA DROGACH SZTUKI

WYSTAWY W ZACHĘCIE

Wystawa „Formistów“, Plastycy Wileńscy, Reprezentacyjna Wystawa Węgierska.

„Ars longa, vita brevis“! Zasadą, że sztuka jest wieczna i wszystko przetrwa i zwycięży, pocieszają się zwykle zapoznani genjusze. Ale czasami—a dzieje się tak właśnie u nas w chwili obecnej — można przysłowie to odwrócić i w całkiem odmiennym sensie interpretować. Oto — „ars longa“ — sztuka jest długa i — ma czas. Uważa, że niema potrzeby się śpieszyć. Natomiast „vita brevis“ — życie nasze bardzo króciutkie, przeminie szybko, i może wcale przejawów tej porządnej sztuki nie doczekamy?

Zdawałoby się, że to nieuzasadniony niczem pesymizm. Ale wymowa faktów, przy bliższem w nie wejrzeniu, jest przekonująca. Strumień naszego życia artystycznego (mówię w tej chwili wyłącznie o sztuce plastycznej) bardzo wężutkiem płynie korytem. Wystawy, wprawdzie, się odbywają, ale pominiawszy już, że ilość ich, jak na milionową stolicę wielkiego państwa, nie jest bynajmniej imponująca, pod względem jakościowym wyglądają wprost opłakanie. A to, co się u nas o sztuce pisze, nie stoi nawet na poziomie sztuki samej.

Spójrzmy na przeciętny poziom wystaw w instytucji, najbardziej do urządzania ich powołanej — w „Zachęcie“. Mówi się o konserwatyzmie „Zachęty“, o tem, że popiera ona głównie impresjonizm. Ależ nic podobnego. Impresjonizm jest może kierunkiem, który się dziś już przeżył, ale w zakresie którego można wciąż jeszcze stwarzać pierwszorzędne obrazy. A cóż widzimy w „Zachęcie“? Te różne „Poranki“, „Zachody słońca“, „Damy z książką“ i inne „Wieśniaczki w kościele“, brudne i szare w kolorze, formy wogóle nieposiadające, naiwne i nieudolnie próbujące oddać rzeczywistość, posiadają może jakieś wartości literackie, ale nie są właściwie wogóle obrazami. Bo w obrazie, jednak, istotnie jest ważną i treść najgłębszą wyraża tylko forma i konstrukcja barwna, jako taka.

Smutny ten stan przerwały — z wielu, zresztą, zastrzeżeniami — dwie ostatnie wystawy: wystawa ubiegła — „Formistów“ i „Wileńskiego Tow. Plastyków“ — i otworzona obecnie reprezentacyjna wystawa sztuki węgierskiej.

Grupa „Formistów“ stanowi jakby przejście od naszego centrum do skrajnej lewicy. „Formiści“, zrzeszywszy się w ugrupowanie pod hasłem reakcji przeciwko impresjonizmowi i walki o zamkniętą formę w obrazie — dziś nie stanowią, właściwie, jakiejś bardzo jednolitej grupy. Tendencje wybitnie ekspresjonistyczne części członków (Witkiewicz, Czyżewski)

spotykają się tam z poszukiwaniami kolorystycznymi, zbliżonemi do poczynąń francuskich poimpresjonistów, częściowo bardzo interesującemi (Pronaszko). Na gruncie zdecydowanego „formizmu“ stoi, właściwie, jedynie Zalewski i, częściowo, Winkler. Zalewski istotnie buduje, konstruuje obraz, wydobywając z poszczególnych jego elementów formę najprostszą, a zarazem najbardziej zasadniczą. Daje przytem bardzo ładne zestawienia barwne.

Całość wystawy „Formistów“, niezależnie od różnorodnych tendencji, przejawiających się w niej, nader korzystnie odbija od reszty wystaw, zdradzając ciągłość wysiłków artystycznych i odrębne, bądź co bądź, poszukiwania.

W salach górnych „Zachęty“ umieścili w tym samym okresie prace swe plastycy wileńscy. Najwybitniejszy z pośród nich, to, oczywiście, Ludomir Ślodziński. Ślodziński może służyć, jako doskonały przedstawiciel naszego „centrum“. Dąży on również do wydobycia formy, jest tylko przytem bez porównania bardziej przedmiotowy, niż „Formiści“, i podczas, gdy Zalewski np. w swych poszukiwaniach opiera się już jednak poczęści na zdobyczach sztuki najnowszej, t. j. kubizmu i konstruktywizmu, — Ślodziński jest wybitnym paseistą, to znaczy, że nawiązuje w swej sztuce do tradycji renesansowych. Jego obrazy, pełne spokoju i klasycznej równowagi form, są jednak słabe w kolorze, a w zestawieniach barwnych chwilami wprost przykre. Ten sam minus daje się zauważyć i u innych członków ugrupowania. Najlepszy z nich to uczeń Ślodzińskiego, Karniej, który w swych aktach kobiecych, klasycyzujących na modłę mistrza, łączy bardzo dobre miejscami wyczucie formy z doskonałą techniką olejną, o solidności, rzadko dziś spotykanej. — Naogół, o plastykach wileńskich można powiedzieć, że porządnie, jak się zdaje, pracują — a to w naszych warunkach znaczy już bardzo wiele.

Drugi z kolei ewenement w naszym życiu artystycznym stanowi otwarta obecnie wystawa reprezentacyjna sztuki węgierskiej. Stanowi — a, właściwie, powinna stanowić. Jest to przecież pierwsza u nas zbiorowa wystawa zagraniczna, pierwsze zacieśnienie węzłów, łączących nas w braterstwie sztuki z krajami Europy. Idziemy na wystawę, pełni oczekiwań. Niestety — spotyka nas smutne rozczarowanie.

Przedewszystkiem — wartoby się dowiedzieć, jaki, mianowicie, tytuł nosi wystawa? „Wystawa reprezentacyjna“ — to jeszcze nic nie mówi. Ale czy jest to

przegląd retrospektywny, rozwojowy malarstwa węgierskiego, czy też zestawienie usiłowań doby ostatniej? Zdaje się, że ani jedno, ani drugie. Cała wystawa ma charakter najzupełniej przypadkowy. Poświęcono jej cztery sale. I-ą zajmuje związek „Szinyei Merse Pál”. Obrazy impresjonistyczne—ale impresjonizm to bardzo względny, przeważnie podszyty rdzeniem niemieckim realizmem i obficie podlany brunatnym „sosem monachijskim”. Czyżby tak wyglądał cały impresjonizm węgierski? A może tylko nieszczęśliwy dobór eksponatów?

Druga sala—„T-wo Benczur”. Akademickie płótna w duchu urzędowego, dworskiego malarstwa niemieckiego z połowy zeszłego wieku. Na niektórych, zresztą, znać solidną, poważną pracę. Figurują tu, zresztą, nazwiska, znane z historii malarstwa, jak Muncacsy, Szinyei Merse. No, to już chyba sala retrospektywna? Jednak, po bliższym przyjrzeniu się, okazuje się, że większość obrazów nosi daty najświeższe, nie wykazując przytem żadnych nowych i godnych uwagi wartości.

W trzeciej sali rozgościło się „Nowe Towarzystwo Artystyczne K. U. T.”, najbardziej „lewicowe” z całej wystawy, choć przytem bynajmniej niewychodzące poza ramy kierunku, który we Francji nosi miano centrowego. Malarze ci odpowiadają francuskim „fauves”—„Dzikim”, zgrupowanym dokoła Matisse’a. Tu wystawia Marffy swą przesłiczną „Dziewczynę

z owocami”, drgająca, poprostu, całą gamą delikatnych, rozświetlonych tonów różowo-złotawo-liljowych, swój subtelnie zróżnicowany kolorystycznie akt kobiecy—tu Vaszary daje swe martwe natury, swą „Scenę z teatru Pompadour” i inn., śmiało w koncepcji i zestawieniach barwnych. Naogół znać w tej grupie doskonałe wycucie kolorystyczne i dużą kulturę artystyczną. To więc byłyby jedyne okazy sztuki nowszej na Węgrzech. Jest jeszcze czwarta sala, którą zajmuje „Celibeliek”, ale o tej niema nawet co mówić. Wystarczy nadmienić, że nie stoją obrazy, tu wywieszone, nawet na poziomie „wystaw bieżących w „Zachęcie”.

Czyżby tak miała się przedstawiać sztuka na Węgrzech? Malarstwo przedimpresjonistyczne, — impresjonizm, niezbyt zresztą, pierwszorzędny,— i kilku przedstawicieli postimpresjonizmu. Gdzież inne kierunki? Wobec tak licznych przedstawicieli prawicy, centrum, reprezentowane przez trzech, zaledwie malarzy, a lewicy brak zupełnie. Byłoby to ukształtowanie nienormalne.

Zdaje się, jednak, że w rzeczywistości nie wygląda to wszystko tak beznadziejnie, że odpowiedzialność za ten przykry bilans, któryśmy tu musieli zestawić, spada nie na samą sztukę węgierską, a raczej na niezrozumiałe jednostronny i niefortunny dobór eksponatów. W przyczynie tego stanu rzeczy nie ośmielamy się wkraczać.

l. j.



PROVINCIALE

U NAS W WILNIE...

Pierwszorzędnym wydarzeniem dnia w Wilnie stało się wystawienie „Snu” Felicji Kruszewskiej. Właściwie, sensacja wynikła dopiero później. Początek był bardzo zwykły. Reduta wystawiła sztukę autorki młodej, znanej tylko z dwu zbiorów poezji, w Wilnie, zresztą, wydanych: „Przedwiośnie” i „Stąd—Dotąd”. Premjera nie wzbudziła większego zainteresowania i zgóry ogłoszono, że „Sen” po trzech przedstawieniach zejdzie ze sceny. Krytyka przyjęła go wyraźnie nieprzychylnie, prawie drwiąco, w najlepszym razie poklepując autorkę po ramieniu i przyznając, że talentik, wprawdzie, jest, ale gdzie mu tam do dojrzałości, do świadomości celów i środków, gdzie mu tam wogóle do sceny! Ale oto wśród publiczności rozlegać się jęły inne głosy. Zaczęły się dyskusje, coraz

to bardziej ożywione, najpierw prywatne, potem na coraz szersze forum wpływające, w kole Polonistów, na „środach” Związku Literatów, w „Towarzystwie Szubrawców”... To ostatnie może najznamienniejsze, bo „Szubrawcy”, to trzydziestu trzech starszych panów, którzy, choć spadkobiercy „Wiadomości Brukowych”, literaturą się nad miarę nie zajmują, poświęcając swe sobotnie zebrania raczej sprawom gospodarczym i polityce. W pismach ukazały się kontrrecenzje. I publiczność poszła na „Sen”, i na dalszych jego przedstawieniach (a było ich dużo więcej, niż trzy,) robić zaczęto „komplety”, jakich już od dawna w Reducie nie widziano.

I dziś, choć augurzy w dalszym ciągu kręcą głowami, nikt już nie śmie odmówić głębszego zna-

czenia sztuce, wzbudzającej tyle zainteresowania i wywołującej tyle sprzecznych ocen.

„Sen” składa się z siedmiu obrazów, przedstawiających fazy marzenia sennego głównej działającej osoby. Osoba ta, czerwono ubrana „Dziewczynka, której się śni”, dowiaduje się od przybyłego do niej w nocy tajemniczego Wysłańca, że miastu jej i całej Polsce grozi zalew Czarnych Wojsk i że obronić kraj może tylko książę, który tam, na placu, ściga cugle zastygłego w bezruchu, rycerskiego konia. Obudzić go trzeba, rzucając pod końskie kopyta pęk czerwonych kwiatów, i ona to, mała, słaba Dziewczynka, musi znaleźć te kwiaty i księcia zerwać do czynu. Dziewczynka przyjmuje posłannictwo. Wyrusza i, jak to zwykle w snach bywa, wyrastają przed nią najprzeróżniejsze przeszkody, męczą ją i straszą cudaczne majaki, słowa, pozbawione sensu, a przez to właśnie tak przerażające. A przedewszystkiem maskara — ponad wszystkie maskary: „Zielony pajac, który powinien wisieć na lampie”, nieodstępnie, krok w krok się za nią błąka, dokucza, wykrada posiadane świętości i wydiera znalezione wreszcie, czerwone kwiaty. Płaczą się pośród zmor i osoby z rzeczywistego życia Dziewczynki, ale nawet najbliższe, najdroższe nie rozumieją jej i tylko przeszkadzają, odwracają myśl jej i serce od upragnionego celu. Z kolei pokonywać w sobie musi miłość, wspomnienia pogodnego, słonecznego dzieciństwa, najrzewniejsze pragnienie, aby wszystko było, jak dawniej, aby się skończyła wreszcie straszliwa męka świadomości zła i szukania ratunku, samotnie, bez niczyjej pomocy.

Jedyną jasną chwilą jest zjawienie się poległego brata, ale i on, chociaż wszystko rozumie, nie może pomóc. W wędrówce swej dostaje się Dziewczynka do upiornego biura, gdzie schyleni nad stolikami, zafasowani panowie nieustannie liczą i zapisują wszystkie wyrazy zasłyszane, nie dbając zupełnie o treść, jaka się w nich zawiera. Napróżno Dziewczynka w najwyższej rozpaczycy woła im, krzyczy, że nadchodzą Czarne Wojska, że Książę dotąd nie zbudzony. Oni mogą tylko zapisać, że oto dokonało się „nadejście Czarnych Wojsk!” Nie pomógł straszliwy wysiłek i męka biednej, czerwonej, jak żywe ludzkie serce, Dziewczynki. Na placu miejskim, u stóp spiżowego księcia, jej księcia, odbywa się koszmarna uroczystość. Gromadzi się tłum, przy wtórze bębnow suną niezliczone Czarne Wojska, i Wódz ich — jej własnymi, zaledwie zmienionymi słowami — hołd składa Wielkiemu Symbolowi, zaklętemu w pomnik. Złamana, bezsilna już zupełnie Dziewczynka słyszy, jak się bezpowrotnie przekreśla możliwość ratunku, jak się zabija żywą moc Księcia, jak morduje się Go, wielbiąc w Nim tylko to, co niepowrotne i zamiast żywych, czerwonych kwiatów składając mu u stóp laurowe wieńce. Zebrały tłum podchwytuje okrzyk Wodza Czarnych Wojsk: „Niech żyje wielki pomnik!”

Na tym ponurym, beznadziejnym akordzie sztuka, właściwie, się kończy. Logicznie rzecz biorąc, niema już więcej nic do powiedzenia. Od pierwszej chwili czuło się przecież, że tak będzie. Groza rosła z każdym obrazem. Dziewczynka była sama i mała. Czarne wojska musiały zwyciężyć.

Ale żywe i pełne nadziei serce Kruszevskiej nie mogło się na taki koniec zdobyć. Będzie jeszcze obraz siódmy. Na wielkim, świetnym balu znajdzie się znów Dziewczynka, ale już biała, jak śnieg, w długiej dziewczynnej koszulce. Ale choć tłumy gości z zachwytem witają Ekscelencję — Wodza Czarnych Wojsk, choć „Zielony pajac” zatrzymuje czas na zegarze, by wszystko zostało takim, jakim jest w tej chwili, zjawi się znów Wysłaniec w szarej bluzie robotnika. On wie, jak się strasznie Dziewczynka zmęczyła, wie, że robiła co mogła i więcej jeszcze... wie, że siebie samą złożyła Księżu w ofierze, więc posłannictwo spełnione — i można zegar znowu poruszyć. Godzina bije — i słychać zdaleka — jak zeskoczył z cokółu i leci na koniu rycerskim zbudzony książę. Czarne Wojska giną, wokoło uniesionej szczęściem Dziewczynki skupia się rozumiejący wreszcie tłum. Następuje przebudzenie.

Ten obraz robi istotnie wrażenie czegoś dodanego później, doczepionego niejako gwałtem do skończonej całości. Nie jest koniecznością, wpływającą logicznie z całej konstrukcji formalnej i myślowej dramatu. I w tem miejscu napięcie słabnie — nie osiąga zamierzonego celu. To może jedyny poważny zarzut, jaki można postawić autorce.

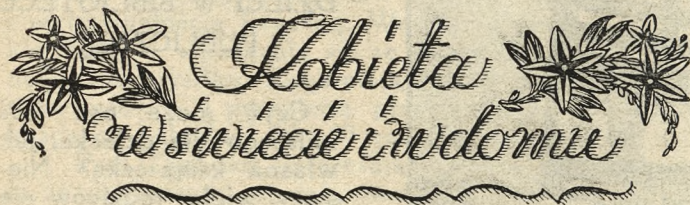
Krytyka wileńska zaś, zbita, zresztą, z tropu „dziwacznością” i „dowolnością potraktowania” pomysłu, wysuwa głównie nikłość wątku ideowego i ubóstwo słowa. Nawet życzliwi, chcąc, jak mówią, wzmocnić kościec ideowy sztuki, szukają nagwałt jakichś wyjaśnień, podstawiają alegoryczny sens pod każdy szczegół akcji, wszystkim akcesorjom sztuki nadają znaczenie symbolu. Co do mnie, nie sądzę, by istotnie ważnem było stwierdzenie faktu, czy Czarne Wojska oznaczają bolszewików, czy faszystów, i czy Dziewczynka przedstawia inteligencję polską, a wysłaniec — masy robotnicze. Alegorje są zwykle suche i nudne pełne pracowicie naciąganych szczegółów, a w „Śnie” niema nic z mędrkowania. To prawdziwe, głębokie przeżycie. Kruszevska nie tylko widzi, że w odrodzonej Polsce dzieje się dużo rzeczy złych — ona każde takie zło odczuwa, jak żywą krzywdę, jak swoje własne nieszczęście. Czuje — i umie uczucie swoje przelać w widza, umie go do głębi poruszyć. A na to trzeba być niepospolitym artystą. Zapewne, dążenie do ideału w życiu, walka ze złymi siłami, gnieźdzącymi się w piersi każdego człowieka i każdego narodu — to nic nowego. Ale czyż nowem jest samo pojęcie dobra i zła?

Jeśli zaś chodzi o formę utworu, to wyznaję, że dla mnie właśnie ta oszczędność w operowaniu słowem stanowi wielką jego zaletę. „Sen” pisany jest

z ogromnem poczuciem teatru. To, co się dzieje na scenie, o wiele ważniejsze jest od tego, co się na niej mówi. Kruszevska zrozumiała to odrazu, i, choć liryczka, odważnie podporządkowała słowo głęboko wyczonej i świetnie poprowadzonej akcji. I właśnie dlatego krótkie, urywane wyrazy, wciąż wółko się powtarzające, wywierają wrażenie, którego by nie osiągnęła żadna popisowa tyrada.

Jeszcze jedną ogromną wartością w „Śnie“ jest znakomite wczucie się w istotę zjawy sennej. Wszystko, co przeżywa Dziewczynka: zmiany nastroju, otoczenia, stosunek do niej występujących w jej marzeniu osób, kolejne fazy jej wędrówki, przygasanie i ożywanie myśli o grożącym od początku niebezpieczeństwie — wszystko jest tak bajecznie „senne“, tak w pozornej swej sprzeczności niezbędnie ze sobą związane, (właśnie, jak to we snach bywa) — że staje się, poprostu, rewelacją.

Tę stronę utworu przedewszystkiem podchwyciła Reduta. Reżyser — Wierciński i dekorator — Iwo Gall w zgodnym wysiłku uczynili zeń wspaniałą fantasmagorię, przechodzącą z groteski do koszmaru, a zarazem przejmującą najczystszy liryzm. Prześliczne, a straszne w swej nierzeczywistości Kolorowe Domy, przeraźliwie bezmyślne Biuro, wykrzywiające się w jakimś czarodziejskim zwierciadle, przemarsz Czarnych Wojsk po obu stronach utopionego w chmurach cokołu, a przedewszystkiem cudowna wizja zabitych żołnierzy, wysuwających się z olbrzymiej, z szarego kamienia, bramy — to obrazy poprostu niezapomniane, nie dające się objąć słowami. To w dorobku Reduty pierwszorzędnę, świetne widowisko.



ZJAZD KUŹNICZANEK

Zarząd Koła Kuźniczanek wzywa wszystkie dawne wychowanki Zakładu Kuźnickiego, aby zgłosiły swoje adresy i chęć uczestniczenia w ogólnym Zjeździe Kuźniczanek w dniu 22 i 23 kwietnia 1927 r. w Warszawie. Zgłoszenia jaknajśpieszniejsze niezbędne są, aby Zarząd mógł przygotować odpowiednią liczbę noclegów. Zniżka kolejowa 66% w drodze powrotnej jest zapewniona.

Koszt utrzymania z noclegiem wyniesie na dobę 5 zł. dla przyjezdnych. Udział w kosztach organizacyjnych Zjazdu obliczono na 5 zł. dla wszystkich.

Wiadomości należy kierować pod adresem: Warszawa, Przeskok 2 m. 3, J. Krytowa.

ZJAZD SIÓSTR CZERWONEGO KRZYŻA

W dn. 26 i 27 marca r. b. odbył się Zjazd delegatów Sióstr Polskiego Czerwonego Krzyża w Oficerskiej Szkole Sanitarnej pod przewodnictwem Marii hr. Tarnowskiej, przewodniczącej Wydziału Sióstr przy Zarządzie Głównym P. C. K. oraz honorowej przewodniczącej Zrzeszenia Sióstr P. C. K.

Sprawozdanie Zarządu Zrzeszenia za 1926 r. zaznajomiło obecnych z działalnością Zrzeszenia obejmującą pomoc dla sióstr zredukowanych, kasę, samopomocę, prowadzenie letniska dla Zrzeszonych. Troska o przyszłość i schronienie dla pozbawionych pracy, oraz przyjezdnych sióstr wpłynęła na powstanie projektu założenia własnego ogniska.

W zrozumieniu znaczenia powyższego celu Zrzeszone z bardzo skromnych swych pęborów wnoszą miesięcznie składki dla stworzenia funduszu, potrzebnego do nabycia własnego mieszkania.

W dalszym ciągu siostra Nagórska wygłosiła referat o działalności stowarzyszeń zagranicą, w którym zaznajomiła obecnych z ustrojem związków analogicznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pułk. dr. Ludwik Zembrzusi wypowiedział odczyt o działalności pielęgniarskiej kobiet w walce o niepodległość Polski.

W następnym dniu obrady rozpoczęły się referatem p. Reklewskiego o ubezpieczeniu, w dalszym ciągu dr. Zabawska-Domosławska zaznajomiła obecnych z zadaniem wychowania fizycznego. Siostry Czerwonego Krzyża bardziej, niż kto inny, rozumieją ważność ćwiczeń na świeżem powietrzu, jeżeli tego nie czynią, szukać należy przyczyny wyłącznie w przeciążeniu pracą. Bowiem nieznana im jest zasada 8-mio godzinnego dnia pracy.

We wnioskach jednomyślnie stawiano rezolucję unormowania godzin pracy, nad wyraz uciążliwej, gdyż prócz zwykłych zajęć, w których nie ma miejsca święto, przybývają dyżury nocne. Troską tych cichych pracownic jest również brak zabezpieczenia przyszłości, aczkolwiek, bowiem, pracują po lat kilkanaście w instytucjach państwowych, nie przysługuje im prawo do emerytury.

KURSY „OŚRODKA ZDROWIA“

Przedmieścia stolicy naszej znajdują się w opłakanym stanie pod względem zdrowotności. Stałe uświadamianie ludności miejskiej o konieczności przestrzegania najelementarniejszych, bodaj, zasad higieny — staje się koniecznością.

W tym celu „Ośrodek Zdrowia“ w Mokotowie urządza kurs dla młodych dziewcząt, na który przyjmowane będą absolwentki szkół powszechnych w wieku od lat 15. Kurs trwać będzie 3 miesiące i składać się będzie z wykładów teoretycznych i zajęć praktycznych. Wykłady odbywać się będą w godzinach wieczorowych (od 6 do 8 g.) wspólnie dla całego kursu, zajęcia zaś praktyczne — w godzinach rannych. W tym celu słuchaczki będą podzielone na grupy po 10.

Na program złożą się wykłady na następujące tematy: higiena odżywiania, higiena osobista i mieszkania, gospodarstwo domowe, wychowanie dziecka, walka z gruźlicą, walka z chorobami dziedzicznymi, z alkoholizmem, jaglicą i malarją, choroby zakaźne, pielęgnowanie chorego w domu i pielęgnowanie dzieci, pomoc w nagłych wypadkach i wychowanie fizyczne.

JUBILEUSZ HELENY PRAWDZIC-KUCZALSKIEJ

Wszechpolski Zjazd Sekcyj wychowania fizycznego. Dnia 19 i 20 marca odbył się w Poznaniu doroczny Zjazd Sekcyj wychowania fizycznego i higieny szkolnej przy Tow. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych.

Przybyło przeszło 150 delegatów z całej Polski, oraz naucz. wychowania fizycznego z Wielkopolski.

Poza całym szeregiem referatów i dyskusyj, niezwykle interesująco wypadły pokazy różnorodnych lekcji gimnastyki, tańców narodowych, rytmiki i t. d. Ze Zjazdem tym połączono uczczenie pracy p. Heleny Prawdzic-Kuczalskiej z Torunia, która przed 35 laty wprowadziła do Polski ze Szwecji system gimnastyki Linga. Pani Prawdzic-Kuczalska była założycielką pierwszej w Warszawie szkoły gimnastyki i masażu, oraz niestrudzoną inicjatorką i propagatorką systemu szwedzkiego w Polsce, przez długi szereg lat.

Zasłużonej działaczce wręczono adres, artystycznie wykonany przez szkołę zdobniczą w Poznaniu.

NOWA SZKOŁA ZAWODOWA DLA KOBIET

Koło Macierzy Szkolnej, korporacji „Welecja”, organizuje nowy typ szkoły zawodowej dla kobiet, wzorowanej na typie współczesnych szkół zagranicznych. Szkoła zostanie otwarta w Warszawie. Będzie miała na celu fachowe przygotowanie sekretarek dla organizacji społecznych. Dotychczas u nas dobór odpowiedniej siły na te stanowiska jest dziełem przypadku, coraz bardziej jednakże odczuwa się brak osób fachowych.

Szkoły pracy społecznej istnieją w szeregu krajów europejskich; najśłynniejsze są w Belgii i Szwajcarii.

ROBOTNICE ŁÓDZKIE JEDYNYMI ŻYWICIELKAMI RODZINY

Członkini delegacji strajkujących robotników łódzkich, przybyłej do wicepremiera Bartla, p. Helena Piechotkówna ze Zw. Chrześcijańsko-Demokratycznego, udzieliła przedstawicielowi „Kurjera Czerwonego” ciekawych informacji o pracy kobiet w przemyśle włókienniczym.

Kobiety w Łodzi pracują narówni z mężczyznami w przędzalniach, tkalniach i innych oddziałach i stanowią 60 proc. wszystkich robotników włókienniczych. Na przędzalniach zatrudnianych jest kilka tysięcy młodocianych dziewcząt. Tkaczka zarabia przeciętnie od 4—5 złotych, młodociane na przędzalniach — 2.93.

W zakładach średnich i małych płace są znacznie niższe. Kobiety w przemyśle łódzkim są jedyne, nieraz, żywicielkami rodziny. Mężowie są najczęściej bezrobotni.

RZEŻBA POLKI W TUILERJACH

W „Salon des Tuilleries” w Paryżu, dzięki niezwykle przychylniej opinii słynnego rzeźbiarza Bourdelle’a, została wystawiona ciekawa bardzo praca naszej rodaczki, p. Heleny Zielińskiej, przedstawiająca „Portret kobiety w drzewie”.

P. Zielińska ukończyła wydział rzeźby Akademii w Krakowie w roku 1925. Podczas studiów, trwających przez 4 lata, poszczególne prace młodej rzeźbiarki były wyróżniane i odlewane na koszt Akademii.

Po ukończeniu Akademii, p. Zielińska otrzymała stypendjum na wyjazd zagranicę i kształci się obecnie w Paryżu.



DZIECI W BIBLIOTECE PUBLICZNEJ

Czyż może być coś miłszego dla dziecka, jak własna książeczka? Niestety, wielu rodziców nie może sobie pozwolić na taki wydatek, jak kupno ładnej książki z obrazkami dla swej pociechy. Z pomocą przychodzą wypożyczalnie książek, a przede wszystkim Towarzystwo Biblioteki Publicznej, której dział dla dzieci cieszy się zasłużonym powodzeniem u naszych milusińskich.

Zdjęcie nasze przedstawia działkę podczas czytania w lokalu Biblioteki Publicznej.

BIEG PAŃ

Już się zaczęły pierwsze wiosenne zawody. „Jeszcze północ mrozem dmucha“, a już dzielne zwolenniczki sportu stanęły do apelu. Ilustracja nasza przedstawia bieg pań na terenie szkoły Giżyckiego w chwili, gdy dobiegają do mety. Uroczę otoczenie starego parku tworzy swoiste tło dla szybkonogiej gromadki dziewczęcej.



KILKA SŁÓW O SILE FIZYCZNEJ KOBIET

Badania, które zostały przeprowadzone w Londynie przez Medical Research Council, na żądanie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w celu ustalenia ciężaru, jaki udźwignąć może przeciętna kobieta, dały wyniki zgoła nieoczekiwane.

Okazało się, że najcięższa praca fizyczna, dokonywana przez kobiety, odbywa się w fabrykach chemicznych w Glasgow.

Dziewczęta, zatrudnione w tych zakładach, zaskakują swych pracodawców zarówno swoją siłą, jak i wytrzymałością fizyczną. W dodatku pracują wszystkie boso i wywiązują się ze wszystkich swych czynności bez wysiłku. Zagarniają łopatą dziennie 20—25 tonn surowca, i przenoszą przeciętnie po 100 funtów każda na odległość 70—80 jardów.

Prof. Cathcart, interesujący się tą kwestią, ustala, że dziewczęta osiągają maximum swej siły i sprawności w 18—19 roku życia. Nie pracujące fizycznie są daleko słabiej rozwinięte i są bez porównania mniej silne. Dziewczęta, studjujące w kolegiach angielskich, gdzie taki wielki nacisk kładziony jest na sporty i ćwiczenia atletyczne, dziewczęta-studentki, pracujące umysłowo i znajdujące się w dobrobycie, nie mogą się nawet porównać pod względem siły z pracownicami, zatrudnionymi w fabrykach chemicznych w Glasgow.

JAK SIĘ BĘDĄ UBIERAŁY PIĘKNE PANIE W PRZYSZŁOŚCI

Na temat powyższy wypowiada się jeden z najwykwintniejszych twórców współczesnej mody paryskiej, Paul Poiret, który próbuje skreślić sylwetę pięknej, eleganckiej pani w roku, przypuścimy... 1955!

Na ten temat można sobie roić rzeczy najfantastyczniejsze, napewno kaprysy mody prześcigną fantazję ludzką, bodaj najbardziej wybujałą.

Pan Poiret upiera się przy twierdzeniu, że przy krótkich włosach — spódniczka — nie utrzyma się... O ileż praktyczniejszemi, a i higieniczniejszymi są spodnie!

A więc powrót jupe-culotte'ów w najrozmaitszych fasonach! Moda ta zataczać będzie coraz szersze kręgi i utrzyma się bezwarunkowo tak długo, jak długo trwać będzie moda na krótkie włosy.

Później, oczywiście, musi przyjść reakcja.

Kobieta zacznie się stopniowo znowu feminizować, po „męskiej linii“ sylwetki kobiecej rozpocznie się okres Rubensowskich piękności... Chudość będzie niemodna, brzydka, źle widziana... krótkie włosy — nieprzyzwoite.

Rzecz oczywista, suknie będą szerokie, solidne, odpowiednio długie, a tkaniny zupełnie nowe, dotychczas nieznanne. Prawdopodobnie będą to przepyszne materje z nitek szklanych, czy z włókien roślinnych, pofarbowanych na najrozmaitsze odcienie, o jakich my nie mamy jeszcze zielonego pojęcia!

Jaka to szkoda, że nie doczekamy się tych czasów!

A możeby tak sztucznie przyspieszyć ów fatalny rok 1955... z „culotte'ami“, i niechby już zaplanowała odrazu reakcja...

PRECZ Z KOBIETAMI

Zespół dyrektorów teatru „Apollo“ w Berlinie zdecydował, że—z początkiem sezonu wiosennego—wszystkie aktorki zespołu teatru zostaną wyproszone.

Odtąd wszystkie role kobiece, we wszystkich sztukach, grywanych w tym teatrze, będą odtwarzane tylko przez mężczyzn...

H. S.



TEATR POLSKI

„Vox populi“, sztuka w 3 aktach
Tadeusza Ulanowskiego.

Niedość jest być malarzem, poetą, muzykiem, adwokatem, mówcą, działaczem społecznym, a dziś jednym z wyższych urzędników Min. Pracy i Opieki Społecznej, nie dość nawet mieć talent literacki, aby napisać dobrą sztukę. Trzeba jeszcze czuć teatr, trzeba go mieć, jak to mówią, w kończach palców, a wówczas daje się złudzenie życia, a nie papier.

Autor „Vox populi“ jest bezwątpienia intelektualistą nie powszedniej miary, dużo rzeczy przemyślał, do najboleśniejszych ran społecznych zbliżał się ze skalpelem badacza, do najbardziej palących zagadnień podchodził od ich strony etycznej i literackiej, ale nie umiał ich rozstrzygnąć w płaszczyźnie desek scenicznych.

Jest to jeden z tych nieuleczalnych ideologów, który chciałby wszystkich zadowolić i z walki klas wyprowadzić zwycięsko raj na ziemi, a po drodze potknął się o paru żywych ludzi z dawnego, wczorajszego, skazanego na śmierć świata i... przysła utopja

Jednak, potknięcia wyszły autorowi na dobre. Dzięki nim stworzył kilka kapitalnych typów, które znakomita gra aktorska podniosła do wyżyn wyjątkowego arcyzmu. Są nimi: fabrykant Hunger, hrabia Saldo i kamerdyner Gala.

Rzecz dziwna: po bytności na dwóch ostatnich premierach, Kiedrzyńskiego i Ulanowskiego—wynosi się wrażenie, że może mamy nietęgich kapitalistów, marnych robotników, zagłodzonych urzędników, pomylnych działaczy, ale hrabiów—pierwszorzędnych. Co za rasa, jaka pańskość gestu i słowa, co za wykrint, nawet w wygłaszaniu komunałów i w popełnianiu t. zw. „świństewek“ życiowych!

Nasza sztuka dramatyczna staje się podświadomie arystokratofilską, by dlatego, że tacy hrabiowie, jak de Noll i Saldo, coraz bardziej przechodzą do legendy?

Faktem jest, jednak, że autorowi „Vox populi“ chodziło o zupełnie coś innego, niż o skupienie wszystkich światła na epizodycznej, bądźco bądź, postaci. I na tem właśnie polega jego załamania się twórcze. Reflektory efektów scenicznych poplątały się. Działają wadliwie. Autor chodzi od jednego do drugiego i pociąga za sznurek. Nie udało się?—jazda dalej! Popróbowujemy z innej beczki. Tą drogą znalazły się w sztuce takie n. p., zgoła niepotrzebne nikomu, a najmniej—widzowi, postacie panów Wzdłuż i Wszerz, albo scena końcowa w trzecim akcie z przedstawianiem fotela, którą, podobno, ołówek reżyserski skreślił po premierze.

Czy to miał być głębszy symbolizm w sztuce ideowo-sentymentalnej? Czy, poprostu, ot takie, potknięcie się. Bo zresztą mamy tam próby zupełnie naiwnych zestawień i prymitywnych analogii. W pierwszym akcie rodzi się ślubny syn robotnikowi, w drugim nieprawny syn fabrykantowej Hungerowej i dyrektora-ideowca Smugi. W trzecim akcie powinna się narodzić idea. Czy to idea ma być przekazanie rządowi zakładów Hungera, inaczej mówiąc, upaństwowienie przemysłu? Wątpię.

Nie należy zbyt wiele wymagać nietylko od innych, ale i od siebie. Trzeba być geniuszem dialektyki scenicznej, albo mistrzem paradoksu, żeby kilka pierwszorzędnych zagadnień społecznych rostrzygnąć w przekroju jednej sztuki teatralnej. Pan Ula-

nowski porwał się na zamiar ponad siły. Ale w tym porywie jest dużo młodzieńczego entuzjazmu i wiary w ludzi, rzecz niesłychanie cenna u człowieka dojrzałego. Jego sztuka zostanie jako ciekawy dokument psychologiczny.

TEATR MAŁY

„Nie trzeba się niczemu dziwić“, komedia
Stefana Kiedrzyńskiego.

Premjera. Kurtyna idzie w górę. Rozpoczyna się djałog.

Widownia z wyteżoną uwagą śledzi akcję, chciwie chwytając każde słowo. Na twarzach znać wyczekiwanie. Czyż znów będziemy się nudzić? Czyż znów wyjdziemy z teatru z ckiem wrażeń zmarnowanego wieczoru?

Pierwszy wybuch śmiechu jest jak westchnienie ulgi, pierwsza burza oklasków—radosną salwą zwycięstwa. Lody przełamane. Autor już chwycił za serca publiczność i nie wypuścił aż do ostatniego aktu. Jest panem położenia. I każe nam wierzyć w sytuację tak bardzo filmową, jak bogata ciotka, umierająca w porę, jak amerykański narzeczony, również w porę przyjeżdżający z za oceanu, aby znaleźć nietknięty wianuszek dziewiczy swej bogdanki, choć ta zdążyła już w ciągu jego dwuletniej nieobecności być urzędniczą państwową za 140 zł. miesięcznej pensji, wyjść za mąż za hrabiego i zostać przyjaciółką utytułowanego ramola, wszystko „na niby“.

Ale... przecież autor zastrzegł sobie na początku: „nie trzeba się niczemu dziwić“, i my też nie dziwimy się niczemu, przeciwnie, z zapałem bijemy oklaski i autorowi, i wykonawcom.

Jest to fakt—w Warszawie chyba wyjątkowy, żeby po pierwszym akcie wywoływano aurę, a jednak ten wyjątek przytrafił się właśnie Kiedrzyńskiemu. Coprawda, ten pierwszy akt jest w swoim rodzaju małym arcydziełem i gdyby następne poszły crescendo, lub utrzymały się na tym samym poziomie, mielibyśmy pierwszorzędną komedię bez zarzutu.

Ten hrabia de Noll, nawet w przytułku dla paralityków trzymający fason wobec utytułowanej i nieutytułowanej hołoty te epizodyczne postacie starców, doktora i służby szpitalnej, hrabia Wojciech Starowiecki, po mistrzowsku opracowany przez Junoszę-Stępowskiego, wreszcie ta panienka „z dobrego domu“, głodem spychana na krawędź występu, — to galeria typów żywych, odmalowanych gorącymi barwami, mocno osadzonych w kręgosłupie sytuacji pierwszego aktu. Potem ta wyrazistość figur trochę się zaciera, a sytuacje, naiwnie dociągane do pewnego, zgóry powziętego, pionu, zatracają czystość linii i prawdę artystyczną.

Życie zazwyczaj nie klepie tak łaskawie ludzi po ramieniu, jak to uczynił z bohaterami swoimi Stefan Kiedrzyński. Pewne czyny ludzkie, popełnione z całkowitą samowiedzą, mają zwyczaj mścić się, choćby w jaknajdalszej przyszłości. Bezkarne nie sprzedaje się swego nazwiska dla brudnych, bądź co bądź, celów za tysiąc dolarów, a panienka, idąca na utrzymanie do starego arystokraty, choćby jaknajsprytniej wykręcała się od swoich „obowiązków“, ma jednak na swoim sumieniu plamę moralnej niekonsekwencji i haniebnego życiowego kompromisu.

Od faktycznego upadku ocala ją „deus ex machina“—powrót narzeczonego, ocaliłby ją może szlachetny „książę małżonek“, hrabia de Noll.—zresztą, kto wie?—ładne dziewczęta mają szczęście, a panna Malicka tyle uroku wlała w swoją Stellę, że gotowiśmy wszystko jej przebaczyć.

Gra aktorów była bez zarzutu. Może p. Junosza-Stępowski trochę zanadto przypominał siebie samego w „Azais“, ale był tak rozczulająco komiczny, tak zespolił się w każdym geście z zamierzeniami autora, że za ten prawdziwie twórczy czyn sceniczny należy mu się pełne uznanie.

Rasowym hrabią de Nollem był p. Gawlikowski.

S. P. O.



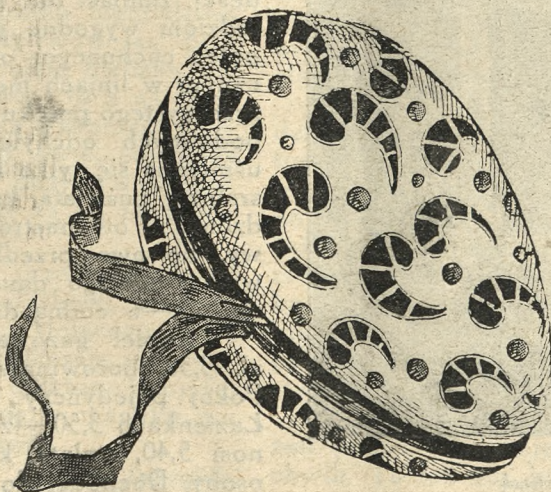
ZMARTWYCHWSTANIE

Zbliża się wiosna, z nią Święto Odrodzenia i Ra-
dości. W wyobraźni naszej widzimy pękające pączki
drzew, fiołki ukryte, w zaledwie zieleniejącej trawie,
gałązki wierzby, oblepione bażkami, symbol prze-
czystej miłości,—gniazdeczko, ukryte w mchach leś-
nych, gdzie troskliwa ptaszyna skrzydłami otacza
ofiara swego poświęcenia zbudzone nowe życia, ko-
sze barwnych pisanek, kryjące upominki jajka wiel-
kanocne i tyle, tyle drogich wspomnień. Nie śpieszmy
się z otwarciem misternie ozdobionej, owalnej puszki
Pandory, którą zostaliśmy obdarowani. Czy zawiera
wspaniały hołd miłości, czy szczery dar przywiązania,
czy skromny tylko dowód przyjaźni, pęczuszek won-
nych fiołków — zaczekajmy chwilę. Cokolwiekby nam
przyniósł świąteczny podarunek: czy wyznanie gorą-
cego, spragnionego wzajemności uczucia, czy pożegna-
nie dotąd wiernego, zimą zmrożonego kochania,— ludź-
my się jak najdłużej, że wyfrunie z niego ptak nie-
bieski — szczęście. Cieszymy się naszym złudzeniem!

Jakże prędko, niestety, gałązki szernieją, fiołki
zwiędną, a zawartość jajka przyniesie rozczarowanie.
Zaden skarb nie dorówna chwilom oczekiwania i —
czasem radosnym, częściej bolesnym — wspomnieniom.
Od lat najmłodszych pamiętamy cierpliwie oczeki-
wane, upragnione Święta Wielkanocne; pełen ruchu
i wrzawy Wielki Tydzień, sto-
sy przysmaków, gorączkowe
przygotowania i końcowy triumf
lub czarna rozpacz, zależnie od
tego, czy i jak się udały baby
i placki! A te rozrzucające
zwyczaje patriarchalne, jed-
noczące w Zmartwychwsta-
nia Pańskiego dwór z folwar-
kiem w jedną wielką, pełną mi-
łości i zaufania, rodzinę. W dzi-
siejszych czasach, pełnych nie-
zdrowych pożądań i moralnego
upadku — trudno wierzyć w to
co nam tradycja przekazała,
trudno wierzyć we wzory, na

których kształtowały się serca nasze, trudno wierzyć
w te serdeczne, naiwne czasy, rozczulające prostotą,
w czasy, kiedy gość w progach naszych mile witany
bywał, kiedy nie gaszono światła w mieszkaniu i nie
przyciszano głosów na dźwięk dzwonka w przedpo-
koju, kiedy dzielono się z przybyłym, czem kto miał
i mógł, powtarzając, „Gość w dom, Bóg w dom“. Ja-
kie to wszystko dalekie! Nie dajmy jednak zaniknąć tra-
dycji, obudźmy ją choć w małych rzeczach, na wielkie,
niestety, nie stać nas już dzisiaj. Koszami pisanek ozdób-
my nasze stoły. niech biel nakrycia ożywia świetnymi
barwami i artystycznym wykonaniem, a skromne fioł-
ki, w których pełnym rozkwicie święta w tym roku
wypadają, niech nadadzą domowi naszemu, uroczy,
swojski pozór. Rozrzućmy ich pęki po całym mieszkani-
u, napełnijmy nimi czarki i koszyczki, zasypmy
fiołkami nasz stół Wielkanocny, niech na świeżem tle
obrusa widnieje wonne „Alleluja“. Przy każdym nakry-
ciu postawmy małe kieliszki z fiołkami, a zapach ich
subtelny niech rozkosznie napełni całe mieszkanie. Spo-
kój i szczęście niech zapanują wokoło, i niech spełnią
się moje dla Was, Czytelniczki, życzenia: niech z tym
dniem uroczystym znikną zawiść i rzucająca pod nogi
kamienie — zła wola, a zmartwychwstaną szlachetne
cnoty naszych przodków, dzisiaj, niestety, będące już

tylko, nie wszystkim nawet zna-
ną tradycją. Niech w długie
jeszcze lata nikogo bardzo dro-
giego nie zbraknie przy Wa-
szym stole i niech serca, pełne
miłości i ideału nie zaznają
gorzkiego rozczarowania. Wśród
dni radości i wesela nie zapomi-
najcie o tych wydziedziczonych,
którzy, pozbawieni środków i
pracy, z nędzy ulegają najgor-
szym instynktom; niech każdy
dom nakarmi jednego chociaż
biedaka, a radość Wasza będzie
kompletną, bo napełni serca po-
czuciem dobrego uczynku. J. S.



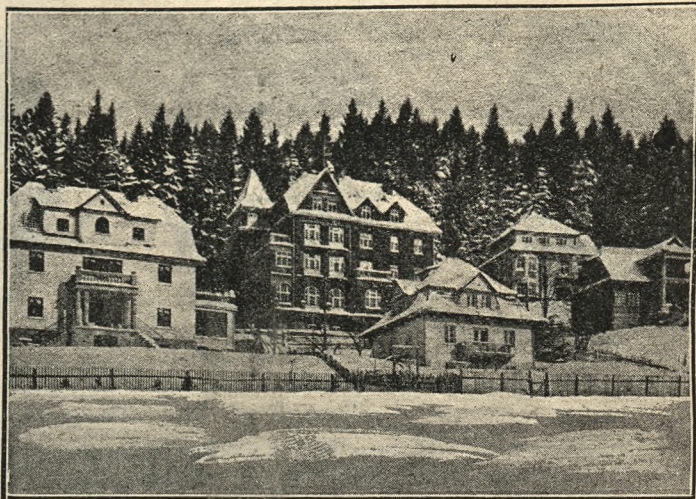
KRYNICA

Aby zaznaczyć nasze Czytelniczki z uzdrowiskami w kraju, będziemy stale podawali korespondencje i informacje, dotyczące wszystkich miejscowości kuracyjnych. (Przyp. redakcji).

Od trzech lat zaledwie otwarła Krynica wrota zimowego sezonu. Ludzie, jak to zwykle bywa, nie lubią stawiać pierwszych kroków na nieznanym szlakach. To też pierwszej zimy zaledwie kilkanaście osób korzystało z tego kaprysu, jakim zwano ogólnie sezon zimowy w Krynicy. Zima 1925—1926 r. może pochwalić się już licznym zastępem kuracjuszy, a sezon tegoroczny—to prawdziwe zwycięstwo, które rzekomy kaprys podniosło do rzędu faktów, siłą powodzenia zdobywających sobie prawo obywatelstwa na całej linii.

Gmach Nowych Łazienek otworzono w październiku roku ubiegłego. Tak zewnętrznie, jak i wewnętrznie jest on ultra europejski. Chwilowo podzielono go na pokoje mieszkalne i łazienki, zczasem, gdy stanie nowy, olbrzymi hotel, połączony z dzisiejszym Domem Zdrojowym krytym deptakiem, a obliczony na dwieście numerów, cały gmach Nowych Łazienek spełni swe zasadnicze posłannictwo, przeistaczając się w kąpielowe kabiny. Dzisiaj znajduje się tu sto pokoi mieszkalnych i sto łazienek, mieszczących w sobie wanię sto ośmnaście, gdyż niektóre kabiny są podwójne.

Kabiny są duże, wygodne, jasne i ciepłe. Wanny miedziane lśnią czystością nienaganną, wygodne sprężynowe kanapki, (rodzaj łóżek z miękkimi materacami) pozwalają wypocząć po kąpeli tym, którzy, nie mieszkając na miejscu, pozbawieni są rozkoszy bezpośredniego powrotu do łóżka. O samych kąpielach mówić trudno. Kto zna ich zbawienną moc i niczem niezastąpione cudowne wrażenie, jakie daje zanurzenie się w tym chłodnym, musującym szampanie, nie potrzebuje słów: zapisały się one w jego pamięci



Dzielnica nowych willi, pensjonaty „Wilson” i „Gewont”

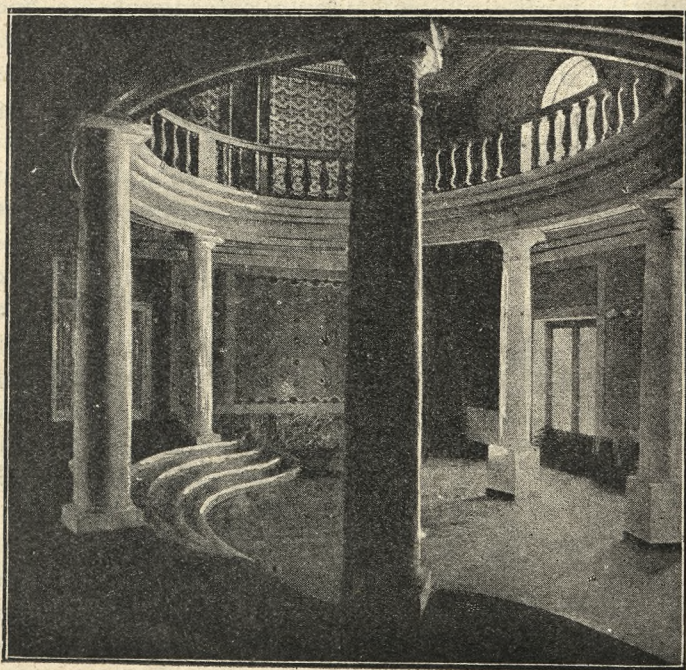
złotymi zgłoskami,—niewtajemniczonym—ludzka mowa nie zdoła oddać rozkoszy ich i orzeźwiającego wpływu.

Siła lecznicza, szczególnie w zimie, kiedy mała stosunkowo do letniej—frekwencja pozwala na używanie wody ze źródeł, doprowadzonej bez domieszki wody zwyczajnej, jest wprost imponująca. Kuracja z początku osłabia trochę, ale w skutkach jest niezastąpiona.

Chwilowo dwanaście łazienek w Domu Kuracyjnym i piętnaście—w Nowych Łazienkach wystarcza kompletnie; w sezonie letnim do dyspozycji kuracjuszy oddanych będzie około dwustu. Jest zatem nadzieja, że oplakany ścisk w ogonkach po bilety kąpielowe i konieczność zadowolenia się minimalną ilością wziętych kąpeli—te bóleczki gorącego sezonu zostaną po części złagodzone.

W Krynicy na każdym kroku znać planową i zakrojoną na szeroką miarę pracę nad rozwojem i ulepszeniem warunków miejscowych, tak pod względem kuracyjnym, jak optycznym i kulturalnym. Nie znaczy to bynajmniej, aby już dzisiaj bliską była doskonałości. Ma ona jednak wrodzony wdzięk, coś tak bardzo pociągającego i miłego, coś, co nie da się wypowiedzieć i oddać słowami, a co działa, jak balsam, nawet na nasz wrodzony polski pęd ku krytycyzmowi i każe brać wszystko z pobłażliwym uśmiechem, pełnym życzliwej pogody. To coś jest tak przemożne i silne, że nawet tonąc w błocie, przez które u samych wrót Domu Zdrojowego rzucono zaledwie kawałek deski, zamiast dać kilka tafli betonowych i umożliwić ludziom wygodne przejście, nawet patrząc na wóz, pełen cuchnących odpadków, który, stojąc na wdziecznym w linjach mostku, balast swój zrzuca w nurty przeczystego potoku górskiego, i na wiele takich i tym podobnych odchylen od normalnego biegu rzeczy, uśmiecha się tylko każdy pobłażliwie—słońcem, lub srebrną poświatą księżycy w stan błogości wprowadzony. I oto nastrój krytyczny załamuje się u podstawy, bo owa przedhistoryczna kładka prowadzi do wrót wesołego dancingu, a mostek, zbezczeszczony mostek—w cudną dal górskich spacerów.

Kąpiel gazowa w okresie zimowym kosztuje zł. 3,30, borowinowa 4,00, okład borowinowy 2,50. Pokój pojedynczy w Domu Kuracyjnym i Nowych Łazienkach 3,50—z dodatkiem za opał i światło wynosi 5,40, opłata kuracyjna 4 złote tygodniowo od osoby. Dochodzi do tego parę złotych podatku gmin-



Hall w gmachu nowych łazienek



Gmach nowych Łazienek z tarasem do werandowania

nego. Kto mieszka w Domu Kuracyjnym, ma do rozporządzenia całodzienny abonament. Płacąc 8 złotych, dostaje pierwsze śniadanie, złożone ze szklanki kawy, herbaty, lub mleka, dwóch bułek i kawałka masła; obiad — zupa, mięso z jarzyną, deser i herbata; podwieczorek, równający się pierwszemu śniadaniu, i kolację: jedno danie mięsne, lub dwa jarskie — do wyboru — i szklanka herbaty. Mieszkańcy Nowych Łazienek mają na miejscu tylko śniadania i podwieczorki. Szklanka kawy kosztuje 70 gr., bułka 10, sucharek 10, kawałek masła 35, herbata z mlekiem 50. Obiady i kolacje jadać wówczas trzeba à la carte w Domu Zdrojowym, lub też w niedalekim pensjonacie, gdzie obiad, złożony z zupy, „przystawki“, mięsa z jarzyną, leguminy i herbaty, kosztuje 3 zł. — kolacja: jedno danie mięsne, lub jarskie, kompot i herbata — 2 zł.

Uprzejmość i dobra wola, jakie królują w tym naszym pensjonacie, nieograniczona szczodroblowość w ilości podawanego jedzenia gotowość uwzględnienia gustów i apetytu stołowników powinna, doprawdy, rozbroić pióro moje, a jednak uważam, że obowiązek podkreślenia braków może wydać w następstwie zbawienne owoce, i dlatego, jedynie, poddaję mu się bez wyrzutów sumienia. Nie wiem, doprawdy, co wyrodziło w naszym społeczeństwie taki ogrom abnegacji, tak ze strony prowadzących pensjonaty i jadłodajnie, jak i tych, którzy z nich korzystają. Nie przestanę twierdzić, że wina większa po naszej stronie — tych, korzystających. Gdybyśmy umieli wymagać i czuli potrzebę kulturalnego, estetycznego i starannego otoczenia w pokoju mieszkalnym i w jadalni, nikt nie powążyłby się wpleść w prowadzenie pensjonatu, w którym zamieszkują kuracjusze, takiego ogromu niedbalstwa i lekceważenia. Nie zasiadalibyśmy wówczas przy stołach, nakrytych poplamioną i wymiętą bielizną, nie pilibyśmy wody brudnymi szklankami, i to z najordynarniejszego szkła, jakie sobie można wyobrazić, dzieląc przytem miłosiernie jedną, lub dwie, pomiędzy kilka osób, nie spożywali ciastek dużym widelcem, lub łyżką od zupy, błogosławiąc je za to, że zabłąkały się na naszym stole.

Tolerowanie tych wszystkich przejawów karygodnego niedbalstwa, z dodatkiem hałaśliwej, brudnej, niewyszkolonej służby i otoczenia, stojącego niżej wszelkiej krytyki, jest busolą tego, co starają się stworzyć i dać nam, przyjeźdźnym, ci, o których bycie, a niejednokrotnie, dobrobycie i zebранym majątku, my przecież — nie kto inny — decydujemy.

(d. c. n.)

Wanda Dobrzańska.

WIELKANOC

Pamiętniki ludzkich serc mają różne karty. Złotym rylcem szczęścia, łzami i krwią, cichą melancolią rezygnacji, uśmiechem promiennym i szarżyną codziennej troski znaczone.

Najbarwniejsza z nich i najśłodsza — to karta, na której słoneczna, wiosenna ręka słodyczą wielkanocnych lukrów kreśliła zgłoski.

Wspomnienia Świąt Zmartwychwstania, promienne i jasne, mają swoją niespożytą siłę. Wraca do nich każdy z pierwszym ciepłym podmuchem wiosny, z pierwszą złotą baską, co się rozwija na wierzbinie.

Dziś nawet, kiedy rozszalały tajfun nowych prądów zmiotł z powierzchni życia powagę i godność tradycji, dziś, kiedy odrzuciło się tyle „zbędnych ciężarów“, krocząc po ścieżce uproszczenia życia, w lamusach wspomnień drzemie słoneczny obraz dzieciństwa. Byle szmer wiosennego ciepłego deszczu, skowronka śpiew, zapach świeżo rozoranej roli, pierwiosnków pęczek, złocistość kaczeńców, a budzi się do życia wszystko przebrzmiałe i zapomniane. Znów pachną pierwsze fiołki, poprzez mrok prastarych parków wiję się uliczka, w ramę błękitnych barwinków ujęta, słyhać wesoły tupot drobnych nóżek, co wzdłuż i wszerz mierzą wyżwirowane aleje. W gorącej słońca poświacie krząta się zapobiegliwa pszczoła, razporaz do kwiatnych przypadając kielichów, trzepoczą skrzydełka motyla i słyhać uporczywy głos perliczego stada.

Na tem słonecznem tle rozgrywa się misterjum wielkanocnych przygotowań. Rumiana twarz zadziwnej dziewczyny, której silne ręce zmobilizowano do ucierania niezliczonych żółtek z cukrem, ciężki od przesłodkich przysmaków przekładaniec, sękaty zarumieniony sękacz, olbrzymia baba z migdałowymi guzami, pozłocisty indyk, szynka, misternie zielenią i frendzlą strzyżonych papierków strojna, szczerzący się — ni to w uśmiechu bolesnym, ni to w wyrazie przedśmiertnego lęku — ryjek pieczonego prosiaka, wieńce kielbas, brzuchate salcesony, wesoła, różnorodna barwność ślicznych pisanek i legion kwadratowych, owalnych, w serca i trójkąty wycinanych mazurków.

Przez szeroką deskę, rzuconą od drzwi kuchennego sanctuarium do sieni kredensu, biegną śpiesznie bose stopy, skrzypią w zawiasach ciężkie śpiżarniane podwoje, stajenny chopak mknie oklep do pobliskiego miasteczka po nowy zapas drożdży, migdałów, lub rodzenków, słyhać miarowy odgłos pracowitych młynków, trzask polan, żarzących się w czeluści rozpalonego pieca. O ściany móżdżerza bije mozolnie ciężki tłuczek, z pod którego bucha w nozdrza ludzkie słodki i cikliwy tuman cukru z wanilią.

Gdy już się ułożył do snu wielkokozwartkowy dzień, wyrzucając z niecek, pieców i karbowanych foremek rząd wyrosniętych bab, odetchnęły piersi ludzkie swobodnie i wesoło. Cóż z tego, że strzeżono je zazdrośnie od przeciągów, wstrząsów drzwi hałaśliwie zamykanych, cóż z tego, że ważono i mierzono z niesłychaną dokładnością mąkę, cukier, mleko, jaja, że klarowano, studzono frasośliwie masło, że nikt nie ośmielił się uchylać okien, że chodzono na palcach, mówiono prawie szeptem, doceniając fantastyczną subtelność odczucia ciasta drożdżowego.

Za cały ogrom uszanowania przepisów i wskazań płacić ono umie kaprysem w ostatniej, niemal chwili. To też noc, która pozwala śnić o pełnym nie-

pokoju trudzie, uwieńczonym wreszcie triumfem na całej linii, jest prawdziwym wytchnieniem i progiem, który wiedzie ku zasłużonej chwale.

Ale to jeszcze nie koniec. Radosne przebudzenie mać jakiś niewyraźny cień. Przysłania słoneczność dnia, wkłada się w radosną pieśń wiosennej przyrody i zaprawia nastrój, prawie że świąteczny, dziwnie niespokojnym drżeniem. Z budzącą się do życia świadomością, wraca poczucie odpowiedzialności za połyskliwą, gęstą i w oczach zastygającą pomadę lukrów, jaką udane twory dnia wczorajszego przystroić należy. Ach, ten lukier! Ile się nad nim pochylało rozgorączkowanych żarem kuchennym i niepokojem twarzy, ile trwożliwych oczu śledziło długą, lepka nitkę, wydmuchiwana na próbę i wszystkie jej zawodne przeobrażenia! Jeżeli wylany w głęboką donicę, za każdym obrotem drewnianego wałka pozostaje również przezroczy i tajemniczy, lepi się i skrzypi charakterystycznie, a drobnymi pęcherzykami od dna śmieje zdradliwie z kobiecego nieuctwa, wiadomo już zgóry, że cały denerwujący trud podjąć trzeba od samego początku. Bo ten łaskawy, a udany, zgęstnie się zaraz i zbieleje w oka mgnieniu, odporny na dodawane krople wonnych esencji, na czas wiercenia i temperaturę, pokryje się świecąca powierzchnią, która bez najmniejszego trudu podźwignie ciężar różnobarwnych konfitur i smażonego tataraku.

Ostatnim akordem gorączkowego trudu kończy się, wreszcie, zapobiegliwość dni i tygodni tyłu. Ogromny stół, bielą holenderskich obrusów zasłany, zieleńią strojny, zastawiony po brzegi, ciężki, soczysty, wonny i słodki.

Kiedy przebrzmi echo szeptanej nad nim modlitwy, a krople wody święconej oschną na listkach jagodzin i barwinków — ten sam człowiek, co natrudził się tyle nad wielkim dziełem, pójdzie w zajadły bój, niosąc zniszczenie.

Nóż i widelec — symbol przemocy, symbol spustoszenia — zrobia swoje, nie licząc się z estetyką misternych tortów i mazurków, z pozłocistym pancerzem pieczonych indyków, z świątecznym strojem różowych szyniek.

W radosną symfonię tego soczystego trudu bije nieraz taranem złośliwy przypadek. Pamiętam, dawno bardzo dawno, gdy nasz dziecięcy żywot wił się jeszcze, niczem radosny strumień, przez ciche pokoje modrzewiowego dworu, przez kwietne łąki i sady, przyszedł dzień strojenia wielkanocnego stołu.

Pod zwisającą z sufitu ogromną lampą naftową, na honorowym miejscu rozsiadł się ogromny tort makaronikowy. Ręce matki, dumne ze wspaniałego dzieła, ustawiły go tam starannie i pieściwie. Wszystko, począwszy od barwy przyrumienionych migdałów, skończywszy na dumnie uśmiechniętych, połyskliwych owocach osmażanych, w misterne ułożonych wianki, śpiewało hymn zwycięstwa i chwały.

Dawno już przebrzmiał echem trzask bata, jakim stangret pognał radośnie konie, odjeżdżając z przed szeroko rozwartych wrót wozowni, sciełł turkot kół toczącego się po gości na kolej ekwipażu, nadszedł moment zapalania lamp i rozkoszny letarg zasłużonego wypoczynku. Ale wystarczyło jednej fatalnej sekundy, aby cała promienna słodycz chwili przysła, niczem bańka mydlana. Z rąk lekkomyślnego lokajczyka, który nigdy nie posiadał umiejętności dokładnego wycierania rezerwoarów, wymyka się lampa naftowa i pada w sam środek barwnego klombu, co stroił ten niezapomniany tort makaronikowy.

Oddźwięk tragedji wsiąkł prędko w radosne okrzyki po witaniu. Gwar ludzkich głosów, brzęk nakryć, a porim kładą się do snu przyjezdni i domowi, jednakowo długim wiosennym dniem strudzeni. W nocnej ciszy jedna tylko kuchnia patrzy w mrok oknem rzęsiście oświetlonem. W niej krząta się nie strudzona pani domu i zatroskana gospodyni, a wschodzące słońce wita jasnymi promieniami sobowtóra wczorajszej ofiary.

A kiedyś znów, gdy cały trud świątecznych przygotowań padł już na moje własne barki — barki młodzieńczej gospodyni, ksiądz — w zapóźnionym objeździe swoim, dotarł do drzwi naszego domostwa w chwili, gdy słońce gasło na zachodzie. Przesunął mi się przez pamięć starodawny przesąd, który głosi, że na Święconę, po zachodzie słońca kropidłem zroszoną, rzucają się liczne mrówki, jak na przynależną im ofiarę. Lęk ścisnął serce, lęk o losy wypieszczonego dzieła. Nie było, jednak, wyboru. Srebrzyste krople wody, słowa cichej modlitwy i niepokój, tłumiony wstydem przyznania się do wierzeń dziwacznych. Dnia następnego, pierwsze kroki skierowane do strojnej zieleńią, oszklonej werandy, pośrodku której pysznił się stół wielkanocny, przekonały mnie o zniszczeniu. Dziwny traf, czy prawda prastarych wierzeń ludu? Dość, że przez kolorowe lukry wiła się wążutka, czarna wstążeczka, ruchliwa i zaborcza, a zasłużony świąteczny wypoczynek został zakłócony trudem walki z zajadłym wrogiem i przystrajania stołu w innych ścianach.

Dziś, gdy los przerzucił nas, smutnych wygnańców, z świątyni stuletnich parków, z rozslonecznionej przestrzeni pól, łąk i lasów, z błogosławionego szmatu własnej ziemi na wysokie, duszne piętra miejskich kamienic. a głowy pochylił nad warsztatem pracy mozolnej, dziś, gdy trud nasz, to uperczywa walka o najbliższe jutro, a nie wspaniały, pełen radości twórczej czyn — wznoszenie gmachu przyszłości pokoleniom, co przyjdą po nas, dziwnie promiennie i uroczysto wygląda świat, na który patrzą omamione wspomnieniem oczy, przez pryzmat tęczy barw, w jakich skąpane było dzieciństwo i młodość wydziedziczonych.

W. D.

ABY MIEĆ WŁOSY PUSZYSTY I MODNIE UCZESANE NALEŻY NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

Dr. Julji Świtalskiej

P. T.

„JAK PIELEGNOWAĆ WŁOSY“

Cena 1 zł. 50 gr.

WYSYŁA ADMINISTRACJA „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, WARSZAWA, KRAK.-PRZEDM. 99, PO OTRZYMANIU NALEŻNOŚCI PRZEKAZEM, LUB W ZNACZKACH POCZTOWYCH.

CZYTELNICZKOM „BLUSZCZU“ KOSZTÓW PRZESYŁKI NIE LICZYMY.

ZA ZALICZENIEM NIE WYSYŁAMY.

„ŚWIECONE“

Zdaje mi się, że u nas, Polaków, jedynych tylko istnieje zwyczaj zastawiania olbrzymiego stołu Wielkanocnego, zwyczaj, świadczący o nadzwyczajnej gościnności, idącej tak daleko, że każdego, kto przestąpi próg naszego domu wczynie dwóch dni, a nawet — w wielu miejscowościach kraju — wczynie całego tygodnia wielkanocnego, chcemy ugościć, nakarmić, napoić, uraczyć najlepiej, jak umiemy. W dawnej Rosji istniało coś w rodzaju naszego Świeconego, w zmniejszonym formacie.

Było to tak nazwane „razgowienie“, — zimna, mięsna kolacja, zjadana w nocy po rezurekcyi „zautreni“ północnej, mająca wynagrodzić siedmiodniowe umartwianie ciała postem. Post ten dla ortodoksów był niesłychanie surowy, gdyż nietylko wykluczał wszelkie użycie nabiału, lecz w środy i piątki ryb nawet, śledzi, oliwy i oleju. Cukier, rafinada, nie był też dopuszczalny, gdyż do oczyszczania go używano kości, zastępowały go różne pomadki, wyrabiane z kryształu, lub miodu. Nikomu do głowy nie przychodziło, aby pić kawę i herbatę ze zwykłym kryształem, który się nie stał „mięsnym“ przez zetknięcie z kośćmi. Dopiero wielka wojna i Niemcy nauczyli nas używać kryształu, dawniej pogardzanego.

Otóż to „razgowienie“ bardzo przypominało nasze Świecone, tembardziej, że przed spożyciem posyłano babę „kulicz“, wyborny sernik „paschę“ i jaja farbowane do cerkwi, gdzie je święcono, jak u nas w kościołach. Pozatem na „razgowienie“ składała się szynka i prosie, w domach zamożnych — rozmaite inne mięsowa, — nie znano tylko naszych wybornych mazurków, albo je fatalnie parodjowano; jeśli oprócz „kulicza“ była inna baba, to nosiła nieodzownie nazwę „polskiej“, lub „warszawskiej“, co dowodziło, że jest naleciałością.

Stół zastawiony pozostawał przez całe pierwsze święto, częstowano przy nim gości, przyczem wszyscy obecni całowali się trzykrotnie, powtarzając sobie: „Chrystus zmartwychwstał — „Zaiste zmartwychwstał“. Jeżeli tak się długo rozpisalam o zwyczajach wielkanocnych w Rosji, to głównie dlatego, aby podkreślić, że zwyczaj urządzania Świeconego jest rdzennie słowiański. Niestety, nie są mi znane obyczaje wielkanocne u południowych ludów słowiańskich: Serbów, Bułgarów, Kroatów, — postaram się, jednak, coś o nich dowiedzieć i za rok, jeśli dożyjemy, podzielić się temi wiadomościami z memi czytelnikami. W Małorosji i na Ukrainie, gdzie lud jest prawosławny, inteligencja i urzędnicy przeważnie rosyjscy, dania wielkanocne i sposób ich spożywania był ten sam prawie, co w rdzennej Rosji.

Wszędzie — od najbiedniejszych do najbogatszych — spożywają baby, które tam właśnie nie „kuliczem“, lecz „paschą“ nazywają, i których koniecznie każdy członek rodziny otrzymuje oddzielną sztukę; ser na słodko, wieprzowinę i jaja farbowane. Dwory polskie przeważnie, i inteligencja po miastach, oczywiście, obserwowały jaknajściślej zwyczaje i obyczaje polskie, — natomiast, u olbrzymich obszarach Ukrainy, stanowiących dzisiaj jedną z rzeczypospolitych autonomicznych sowieckiej Rosji, dwór polski przestał istnieć, a inteligencja polska, jeśli pozostała gdzieś po miastach, to jest bardzo nieliczna i cierpi nędzę.

Na kresach wschodnich, gdzie rozmach życiowy był ogromny, Świecone przedwojenne przypominały ucztę legendarnego „Gargantua“. Indyki na nie ukarmiały się po parę miesięcy, (właściwie od środy popielcowej), samemi włoskimi orzechami, co rzeczwiście dawało niezwykle delikatny smak mięsu, — i dochodziły do bajecznych rozmiarów. Maciora, karmiąca prosięta, przeznaczone na rzeź, dostawała też groch parzony, do którego dodawano cukru, lub miodu, aby prosięta były bardzo tłuste i białe, — prosięta musiały być duże, a jednak takie, coby oprócz mleka matki innego pokarmu nie próbowały jeszcze. Szynki, ile że szynki litewskie są mocno wędzone, — moczone około tygodnia, co kilka godzin zmieniając wodę zimną z lodem, aby mięso nie zakwasiło, poczem je pieczono w chlebie razowym, aby nic nie straciły soczystości.

Teraz, kiedy jadamy cielęcinę z cieląt zaledwie dwutygodniowych i pojonych oszczędnie mlekiem zbieranem z łąkanem siemieniem, lub makuchami, nie mamy już pojęcia, jak smakowała pieczeń z cielaka dwumiesięcznego, który wypijał mleka, ile chciał i mógł przez cały swój dwumiesięczny żywot, — byle pieczeń z niego państwu i gościom smakowała.

A co powiedzieć o ciastach wielkanocnych. Pieczenie baby z rożna, „baumkuchena“, było całym ewenementem, brało w niem udział nie mniej pięciu osób, które kręciły rożen, zbierały ciasto z brytfanny, polewały niem babę, podkładały szczapy na ogień, aby równo rumienił i t. d. Jeszcze więcej zachodu było z babami drożdżowymi, których udanie było kwestją pierwszorzędną, rzeczą od której zależało ustalenie opinii dobrej gospodyni pani domu, o którą to opinię każda kresowa gospodyni dbała również prawie, jak o renomę nieposzlakowanej cnoty. Używano do tych bab takie bajeczne ilości jaj, przeważnie samych żółtek, (dwie, lub trzy kopy na jedną babę), masła i innych przypraw, że drożdże, chociażby najlepsze, miały trudne, prawdziwie, zadanie podjęcia tej ciężkiej masy, — to też godzinami całemi wyrabiano i wybijano to ciasto w nieckach, — delikatniejsze gatunki w bójkach do masła. Praca była tak ciężka, że silne dziewczki folwarczne nieraz wciągu jednego wybijania trzeba było zmieniać, by mogły nieco odpocząć.

Wiem o domach, gdzie sekret jakiejś baby: „koronkowej“, „petynetowej“, „prawdziwej warszawskiej“, lub „dwulokciowej ukraińskiej“, był znany jednej osobie w rodzinie i przekazywany komuś bardzo kochanemu, na przykład najstarszej wnuczce, kodycylem w testamencie. W domu moich krewnych istniała baba, „Leonardówką“ zwana, na upieczenie której sam pan marszałek, noszący to imię, zjeżdżał na wieś z miasta, w którym z wyboru szlachty urzędował, — przyczem zamykał się na godzin kilka z kucharzem w swoim gabinecie, gdzie się wyrabiało i rosło ciasto, a to, aby najłżejszy przeciąg w tych czynnościach nie przeszkodził. Gdy baba szła do piecia, nikomu nie wolno było wchodzić do kuchni pod najsurowszemi karami, a upieczoną już babę wykładano na czystopuchowe poduszki, aby sobie smacznych boków nie odleżała.

Ozdobą święconego była głowizna dzika, lub wieprza, nadziewana rozmaitemi sposobami i umieszczana w altance z zielonej rzeżuchy, dzieło kunsztu wiejskiego ogrodnika. Pozatem figurował na niem konieczny baranek, okryty misterną wełną z prawdzi-

wego masła, z różkami ze złoconego wosku, oczkami z ziarnek pieprzu i chorągiewką amarantową.

Świetne mazurki były zawsze, raczej specjalnością dawnej Kongresówki, pomysłowość gospodyń Polek po dworach, miastach i w samej Warszawie nie zna tu granic. Można objechać i obejść setki domów i w każdym się spotka coś nowego, jakiś smak inny, jakiś detal, stosownie do gustu zmieniony, — i prawie każdy mazurek jest wyborny, drugi wyborniejszy, trzeci najwyborniejszy i t. d., aż superlatywów za braknie.

Daleko odeszliśmy dzisiaj od czasów owej świetności, — dzisiaj na wsi, czy w mieście każdy z groszem liczyć się musi, — z groszem, lub z tem, — że nie wszystko w domu spożyć można, że gospodarstwo kobiece dawać dochód musi, opłacać się, że duża część produktów tego gospodarstwa iść na sprzedaż powinna. To też stoły — zamiast się uginać pod ciężarem „Święconego“, mogą tylko gustownie być niem zastawione. Dania mniej wystawne i mniej liczne, starannie i umiejętnie przyrządzone, mogą być również smaczne. Możemy, na przykład, porobić bardzo poważne oszczędności przy pieczeniu ciast. O ile rozmiar każdego tortu zależy od ilości użytych nań jaj, o tyle, przy babach, używanie ich całemi kopami jest zupełnie zbyteczne. Prawie każdy stary przepis, głoszący o dwóch kopach żółtek, możemy zredukować do trzydziestu, zachowując podaną proporcję reszty ingrediencji, i nacisk kładąc głównie na dobroć i świeżość drożdży, a otrzymamy świetne ciasto, które może nie będzie mogło, jak dawniej, świeże się przechować do Zielonych Świątek, — lecz pocóż ta trwałość, kiedy zostanie napewno zjedzone przed Przednią niedzielą.

Poza uczynieniem zadość tradycji, daniem możności ugoszczenia krewnych i przyjaciół, święcone ma tę dobrą stronę, że daje kilka, a przynajmniej parodniowy odpoczynek służbie, głównie kucharkom, które nawet i w niedziele zwykle odpoczynku nie znają. U nas we wszystkie niedziele i święta obiad nietylko się gotuje i gorący jada, lecz nawet jest zwykle wystawniejszy, gromadzi koło stołu krewnych i znajomych, — w Anglii i Ameryce obiad na niedzielę gotuje się w sobotę, a w niedzielę spożywa zimny, — takie zimne obiady, chociażby trzydniowe na Wielkanoc, dadzą należyty odpoczynek naszym „cordons bleus“, na które tak ciągle, zresztą przeważnie słusznie, narzekają tylko przywykłyśmy.

Pani Elżbieta



POTRAWA Z RESZTEK ŚWIĘCONEGO

Wszelkie resztki białego mięsa: indyka, cielęciny, kury, schabu, lub pieczeni wieprzowej, pokrajać w cienkie plastry i ułożyć na metalowym, lub ogniotrwałym półmisku, przekładając każdy cieniuchnym plasterkiem słoninki od szynki gotowanej. Na kilo takiego mięsa, zasmażyć na biało dwie łyżki mąki z łyżką masła, rozprowadzić litrem dobrego mleka, lub, co smaczniej, śmietanki, zagotować, osolić do smaku, wsypać odrobinę białego pieprzu, na koniec noża utłuczonego kwiatu muszkatołowego, pokryć tem mięso, osypać tartą bułeczką, zmieszaną z ostrym serem, (ser nie jest konieczny). Na wierzch położyć parę kawałeczków masła i wstawić w gorący piec na minut kilka, aby się wszystko dobrze rozgrzało i na wierzchu uformowała rumiana skórka. Sosy, pozostałe po upieczeniu mięs i starannie przechowane, zmieszać, zdejmując z nich wszelki tłuszcz, — półtorej szklanki takich zmieszanych sosów rozgrzać i podać oddzielnie w sosjerce.

BUDYŃ Z RESZTEK ŚWIĘCONEGO

Wszelkie resztki białych mięs: indyka, pulardy, cielęciny, prosięcia, lub wieprzowiny pieczonej, oskrobać z kości. Bardzo dobrze, jeśli są kawałki tłustej woli z pieczonego indyka, która, jako zbyt tłusta, zwykle pozostaje na półmisku, dodaje to dużo smaku budyniowi. Wszelkie to mięso przepuścić przez maszynkę dwa razy, po raz drugi dodając na 80 deka (dwa dawne funty) mięsa, cztery bułeczki „warszawianki“, wymoczone w mleku. Masę tę przełożyć do miski i ucierać, dodając po jednym cztery żółtka, i, jeśli tłuszczu indyczego nie było, łyżkę sporą masła, soli, gałki muszkatołowej, lub zielonego koperku. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Pozostałe cztery białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z resztą masy, włożyć do formy, wstawić do rondla z gotującą się wodą, która powinna sięgać do połowy formy, i gotować od chwili zagotowania całą godzinę, lub nawet więcej, jeżeli budyni duży. Do takiego budyniu możemy podać topione masło, sos biały, śmietankowy, rumiany cytrynowy, albo kaparowy, albo oddzielnie szpinak, przygotowany, jak zwykle na jarzynie.

ŁATWA LEGUMINA Z PLACKA

Nelsonkę, lub salaterkę ogniotrwałą wysmarować masłem. Placek czerstwy pokrajać w cienkie plastry i układać w naczyniu, przekładając jakąbądź marmeladą, lub konfiturami, rodzenkami, lub cykatą, — tem, co w danej chwili mamy pod ręką. Cwierć kilo placzka i łyżka spora konfitur starczy na cztery osoby.

Dwa żółtka utrzeć do białości z dwiema łyżkami cukru i kawałkiem wanilii, rozprrowadzić dwiema szklanekami mleka, zalać tem placek w salaterce. Białka pozostałe ubić na sztywną pianę, zmieszać z łyżką cukru, utłuczonego z wanilią, pianą tą powlec równo leguminę i wstawić na kwadrans w dobrze gorący piec. Gdy piarka się zrumieni, legumina gotowa, — podawać ją natychmiast, aby piana nie opadła. Oddzielnie można do niej podać zimne mleko, lub śmietankę.

BIGOS LENIWY

Wszelkiego rodzaju białe i czarne, mięso pozostałe od święconego, kawałki chudej i tłustej szynki, resztki główizny i rolady, pokrajać w kostkę, rozmiar laskowego orzecha. Na kilo takiego mięsa, zasmażyć na rumiano dwie łyżki maki z łyżką masła, rozprrowadzić rosołem z kości, pozostałych od mięsa, zakolorować karmelem, wcisnąć sok z całej cytryny i wrzucić trochę skórki cytrynowej, otartej na tarce dodać parę łyżek sosu, pozostałego z pieczonych mięs, zagotować, jak na sos niezbyt gęsty, (powinno go być około litra). Włożyć pokrajane mięso, zagotować raz tylko, (dłużej gotowane stwardniałoby), wyłożyć na głęboki półmisek, obłożyć przysmażonymi grzankami z bułki, lub też podać oddzielnie kartofle z wody. Można też do takiego bigosu włożyć dwa ogórki kwaszone, pokrajane w kostkę, lub trzy kwaśne jabłka, także pokrajane. W takim razie sok i skórka cytrynowa są zbędne. Bigos taki nazywamy „leniwym“, dla odróżnienia od bigosu z kapustą, zwanego „myśliwskim“.

MAZUREK Z MACZKI „NESTLÉ“

Trzy czwarte pudełka mączki „Nestlé“, 2 szklanki cukru, szklanka maki pszennej, skórka z dwóch pomarańcz, usmażona na prędkie w jednej z dwóch szklanek cukru, garść rodzenków i dwadzieścia pestek z suszonych śliwek, oczyszczonych i utłuczonych. Dwa całe jaja i cztery żółtka utrzeć do białości z cukrem i syropem z pomarańczowych skórek, potrochu dosypywać mączkę „Nestlé“, mąkę i inne ingredjencje, na koniec dodać pianę z sześciu białek, wymieszać lekko, ułożyć na opłatku, lub podstawie z kruchego ciasta i upiec w niezbyt gorącym piecu.

SOSY OD MIĘS PIECZONYCH

Wszelkie sosy, powstające przy pieczeniu mięs, na święcone, wyborne w smaku, przeważnie wskutek nieuwagi gotujących pozostają na brytfannie i marują się — co przy obowiązującej dzisiaj oszczędności nie powinno mieć miejsca. Należy je zlewać starannie do kamiennego garnka, wszystkie gatunki razem. Po zastygnięciu zdjąć z nich starannie tłuszcz, bardzo smaczny, który może być użyty do smażenia kartofli, lub do kraszenia zup dla służby, do chleba dla niej i t. p. Same sosy zwykle formują rodzaj galaretki, ponieważ zawsze pomiędzy niemi jest dużo sosu od cieleciny. Jeżeli chcemy taką galaretką ubierać nakrajane zimne mięsa, należy część sosu rozpuścić, dodać doń szklankę, lub więcej, rosołu mię-

sne, sklarować białkiem, dodać, zależnie od ilości, po trzy listki żelatyny białej, rozmoczonej w zimnej wodzie, i zastudzić w oddzielnym naczyniu. Resztę sosów, — stać na zimnie mogą przeszło tydzień, — używamy na zimny sos „groseille“, do bigosów, do mięsa duszonego i t. p. Dodają wszystkiemu dużo smaku, — nawet do zup kwaśnych, gotowanych na kościach, zastępują zupełnie dodatek świeżego mięsa. Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Ze starych, jasnych rękawiczek można, wyciśnięszy je starannie, zrobić modne przybrania do wiosennych płaszczy i kostiumów. Trzeba tylko — po wypraniu ich, powycinać dobre kawałki skóry — ufarbować je na zielono, czerwono, popielato, niebiesko, granatowo etc. Wyciąć z nich kwiatki, lub kółka, z których ułożymy deseń na przeznaczonych do ozdoby przedmiotach, przydziernując go włóczką, lub jedwabiem, w kolorze odcinającym się. Można także — zamiast farbować — położyć, lub posrebrzyć skórę, albo polakierować ją.

* * *

Na wizyty kondolencyjne nie nakłada się żałoby, ani nawet konieczności czarnego koloru, ale ubiera skromnie w kostjum, o spokojnych barwach. W rozmowie trzeba unikać tematów lekkich, światowych, ploteczek karnawałowych, jak również nieustannego przypominania straty, lub smutku, które spotkały daną osobę. Co i wiele należy mówić, daje się więcej odczuć, jak opowiedzieć. Wrodzony takt i intuicja będą najlepszymi wskaźnikami, tak co do tematu rozmowy, jak i długości wizyty.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Podajemy do wiadomości ogółu naszych czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczy“ będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki kosmetyczne, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowem. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, ul. Krucza 31, m. 3, według poniższego wyliczenia.

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej:

„Mój Krem“	6 zł.
Mój Puder higieniczny we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr.
Galaretka na łojotok Nr. 1, Nr. 2, Nr. 3.	5 „
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	6 „
Szampon higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło lilowe	3 „ 50 gr.
Perełki do kąpieli przemiennych	5 „
Perełki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „
Prenumeratorki „Bluszczy“, które pragną otrzymać środki kosmetyczne, powinny przysyłać w swych listach następujące szczegóły: stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia, obecne dolegliwości. Co do włosów: 1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone, i z jakim skutkiem, 4) czy są myte, 5) jak często, 6) czy włosy rozdają się na końcach? Poza tem subiektywne uczucie pieczenia, śwędzenia i t. d. Co do cery: czy jest tłusta, sucha, czy wrażliwa na mydło i wodę, jaka woda jest używana do mycia, czy są krosty, pory, wągry, liszaje i plamy.	

KORRESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Czytelniczko ze Śląska Cieszyńskiego Helenie. Zmarszczki powstają wskutek utraty elastyczności włókien sprężystych tkanki podskórnej.

W młodym wieku zmarszczki powstają dość często, świadczą o jakimś niedomaganiu wewnętrznym organizmu, złej przemianie materii, nieodpowiednim trybie życia. Przepracowanie, brak słońca, powietrza, ruchu, palenie papierosów sprzyja tworzeniu się zmarszczek.

U osób bardzo nerwowych, u mimików, artystów, przy nagłych schudnięciach, zmarszczki występują bardzo obficie, tworząc głębokie bruzdy i fałdy. Fizjologicznie zmarszczki powstają w starszym wieku.

Włókna elastyczne kurczą się, pociągają za sobą skórę i tworzą na zewnątrz widoczne fałdy. Racjonalny masaż może powstrzymać i wygładzić już istniejące zmarszczki. Najlepsze wyniki dają dobre kremy, systematycznie i umiejętnie wcierane, powracają elastyczność tkanek, wygładzają i zapobiegają zmarszczkom.

Masaż daje nieocenione usługi pod warunkiem, że musi być robiony pod kontrolą lekarza, zastosowany ściśle do indywidualności skóry. Wszelkie salony kosmetyczne, prowadzone przez laików, gdzie zwykle jednakowo dla wszystkich zabieg kosmetyczny jest wykonywany, więcej krzywdy, niż pożytku przynoszą.

Ażby zapobiec tworzeniu się zmarszczek, należy przede wszystkim usunąć przyczynę, leżącą wewnątrz organizmu, następnie stosować higieniczny tryb życia, w końcu—masaż, umiejętną ręką wykonany, odpowiedni krem i kąpiele przemienne, gorące i zimne, perfumami alkalicznymi. Metoda angielska. Przy tej starannej pielęgnacji skóry można osiągnąć w krótkim czasie doskonałe rezultaty.

Usuwanie zmarszczek drogą operacyjną. Joseph robi te zabiegi w Wiedniu. W miejscach skroni podcina skórę i podnosi ją ku górze. Efekt tylko na krótki okres czasu—albowiem zmarszczki tworzą się nanowo. Cudowne wyniki są tylko na fotogr. natychmiast po operacji, w rok potem twarz przedstawia się fatalnie. Jedynie stosowaniem higieny ogólnej i racjonalną, systematyczną pielęgnacją można mieć pewność zachowania świeżej i gładkiej cery.

Czytelniczko stałej „Bluszczu“ Pani Marji K. Woj. Warszawskie i Czyt. z Leszna. Farby żadnej do włosów nie wysyłam, gdyż, niestety nie jestem w stanie polecić prawdziwie dobrej farby. Narazie nietylko w Polsce, lecz i zagranicą niema farby idealnie dobrej, głośno reklamowane zaś dają czasem zupełnie niespodziewany odcień. Zależy to nietylko od jakości farby, ale również od indywidualnych własności włosów. Osoby, które muszą farbować włosy, powinny używać farb roślinnych.

Odpowiedź ogólna. Na łojotokową cerę stosować moją galaretkę; przy wągrach i krostach Nr. 1, przy rozszerzonych porach i wągrach Nr. 2. Wcierać na noc po umyciu.

Pielęgnacja biustu i t. zw. gęsia skórka będzie uwzględniona w nast. numerze.

Na wzmocnienie włosów przy włosach tłustych „Mój płyn, przy suchych „Moja pomada“.

Nauczycielka. Czerwoność rąk najczęściej pochodzi z odmrożenia. Kolor skóry rąk zależy od koloru całego ciała. Można go bardzo poprawić przez odpowiednią pielęgnację. Niewolno myć rąk w zbyt zimnej, lub zbyt gorącej wodzie, po umyciu starannie osuszyć. Jeśli się chce mieć ręce starannie pielęgnowane, należy bardzo ochraniać przed zimnem. Przed umyciem rąk dobrze jest dodać do wody łyżkę gliceryny i łyżeczkę sody oczyszczonej. Dobrze jest również wycieranie raz na dzień spirytusem z gliceryną, cytryną i bóraksem. Proporcja: 100 gram. gliceryny, 50 spirytusu, jedna cytryna i dwie łyżeczki boraksu. Po wtarcu w ręce spłókać i osuszyć. Rano i wieczorem stosować krem do rąk. Ręce, narażane na częste mycie i wiatry, należy kilkakrotnie na dzień smarować dobrym kremem. Przy zacerzawienieniach rąk dobre wyniki daje światłolecznictwo.

Dr. med. J. Światłowska.

Pani H. F. Sadek. Królików srebrzystych dostanie Sz. Pani w Poznaniu u p. Grzaślewicza ul. Różana 19 i u p. Książkiewicza, ul. Ratajczaka Nr. 45, również w Poznaniu. Pozatem jest duża hodowla królików w Jeziornej u p. Natansona—adres jego w Warszawie ul. Królewska Nr. 10.

Pani Z. B. Warszawa. Kapelusze filcowe odświeża się, o ile ma tłuste plamy, benzyną, jeżeli filc jest ciemny, można go czyścić pumeksem, kamieniem specjalnym do czyszczenia zamszów. Można go dostać w kolorach rozmaitych w składach aptecznych. Natrzeć kapelusze cały, a następnie czyścić go specjalną drucianą do zamszu szczoteczką. Dostać można w składach szczotek.

Pani L. B. Świrynowo. Kursa pielęgniarskie krótkoterminowe są prowadzone przez Czerwony Krzyż w Warszawie. Są ośmiomiesięczne i czteromiesięczne. Na czteromiesięczne można zapisywać się ciągle, na ośmiomiesięczne—tylko na jesieni. Podanie złożić należy do Czerwonego Krzyża—Warszawa, Mazowiecka 11 w końcu czerwca najpóźniej, gdyż miejsc jest niewiele, a zapisów dużo. Wyształcenie wymagane: na czteromiesięczne kursa—4-ro klasowe, na ośmiomiesięczne—6-cio klasowe. 4-ro miesięczne dają prawa pomocnicze, ośmiomiesięczne — kompletne prawa sanitariuszki.

Pani J. S. Kielce. Ażurki tureckie robi się zapomocą wkłuwania bardzo grubej igły, nawleczonej w bardzo cienką nitkę, po dwa razy w te same miejsca, trzymając się linii skośnej. Nitek nie wyciąga się, gdyż ażurki formują się same przez wkłuwanie grubej igły w cienki materiał. Trzeba tylko uważać, żeby linia skośna prowadzona była równo i formowała jednej wysokości ząbki.

Pani J. Z. Włocławek. Firanki najmodniejsze obecnie są poszywane na siatce, zakładane na gzymsach z kółkami. Niech Sz. Pani kupi szósty numer „Kobiety w Świecie i w Domu“, a znajdzie dokładne wskazówki zakładania firanek, oraz potrzebne do nich gzymsy. Portjery—przy dzisiejszym, prostoty pełnym i wysoce higienicznym kierunku — mniej są używane, ładnie jednak zawsze zdobia mieszkanie. Do jadalnego pokoju można je wyhaftować na szarem płótnie kolorowo, do sypialnego—będą najładniejsze z tego samego, co pokrycie mebli, materiału. Siatkę na firanki można zrobić samej, albo kupić gotową na metry i tylko poszyć własnoręcznie.

JESZCZE CZAS NABYĆ KSIĄŻKĘ

p. t.

„PISANKI“

która mówi o pochodzeniu pisanek i tradycjach, z niemi związanych, oraz uczy, jak zdołać i czem barwić jajko wielkanocne

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555

KAŻDY, KTO POSIADA CHOĆ KAWAŁEK ZIEMI, POWINNIEN NABYĆ KSIĄŻKĘ P. T.

„MÓJ OGRÓDEK“

I część — kwiaty, II część — trawniki, róże
inspekta, warzywa

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.